



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gabrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. 1
sgr. 20.

TO MY!

„Kto tam, w moje ciche noce,
Jak ptak w pętach się trzepoce,
I skrzydłami mdłemi trąca
O mojego sierp miesiąca?
Kto źrenice pałające
Wbija w globy moje drżące?
Kto mi gwiazdy budzi moje,
Gdy ja na nie dłoń położę?
Kto ucieszyć się nie może
I zrywa się — i znów pada,
Jak mdlejących wód kaskada?
Czyje-to tam niepokoję
Płoszą światów moich sny?“

. . . To my!

„Kto tęsknotą wieczną ducha
Czepia się mych gwiazd łańcucha,
I o jutrznię moją pyta?
Kto mi budzi moją zorzę,
Nim nad ziemię i nad morze
Dzień mój w blaskach swych zaświta?
Czyja-to tam skarga drżąca,
Woła z cieniów mego słońca,
Zanim orły pióra strzęsą
Z mroków nocy, niecierpliwie,
Nim zabłysną złotą rzęsą,
I królewską strząsną grzywę
Przebudzone duchy — lwy?“

. . . To my!

„Kto śmie ciszę mej zadumy
Porywami swemi klócić?
Czyich-to tam lasów szumy
Wiosnę moją chcą zasmucić?
Kto-to uczy echa moje
Tęsknych westchnień, cichej mowy,
Kto w poranek mój majowy
Uczy szemrać jasne zdroje?
Czyje skargi rzeki niosą
Na swych cichych fal lazurze?
Kto tam płacze z ranną rosą,
Plamiąc moje polne róże
Gorącemi swemi łzy?“

. . . To my!

„Kto tam nosi się z wichrami,
Jak opadłe liście z drzewa,
I chmur kiry westchnieniami,
Po błękitach mych przewiewa?
Kto błyskawic błędnych łuny
Na dnia mego rzuca białość?
Kto-to sięgać po pioruny
Burzy mojej, ma zuchwałość?
Od czyjego cieniów czoła
Tęczy mojej gasną wstęgi?
Kto tam gromów moich woła,
I na jasne widnokregi
Smutków swoich rzuca mgły?“

. . . To my!

Marya Konopnicka.

SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Z przykładną cierpliwością zniósł ten przekaz
mąż — westchnął tylko.

— Słuchaj-że, słuchaj — mówiła hrabina tonem
przekonywającym. — Uczonego z niego ani ty nie
zrobisz, ani ten Buczyński. Bruki zbija i czas
marnuje, jestem pewna, że długi robi. Niechżeby
to się na co przydało! Warszawa dla niego na nic.
Mamy tracić na Julka: niechże korzysta, niech się
przetrze, niech świat zobaczy. Nic tak nie kształ-
ci ludzi, jak podróże. Dodaj mu Buczyńskiego,
wypraw go, gdzie chcesz. Niech zobaczy Berlin,
Wiedeń, Monachium, Paryż, Szwajcaryę: zoba-
czysz, jakim powróci.

— A ja — odparł hrabia, któremu myśl przyszła
szczęśliwa i który ją pochwycił natychmiast — a ja
powiadam, że się na Buczyńskiego spuścić nie mo-
gę, nie mogę. Dobrze, niech się twoja wola speł-
ni, zgoda; ale ja to sobie waruję, że dla przypa-
trzenia się, jak ten pedagog go prowadzi, choć
część podróży sam z nim odbędę.

Propozycja była tak niespodziana i dziwna, że
hrabina chwilę jakąś odpowiedzieć na nią nie u-
miała. Nie mogła męża zrozumieć. Kochał wpra-
wdzić tego swojego jednaka; ale do takiego dla
niego poświęcenia nie sądziła go zdolnym.

— Co ci jest? — zapytała. — Ty? miałbyś jechać dokąd?

— Tyle tylko, ażebym się naocznie przekonał, czy Buczyński sobie z nim radę da — odparł hrabia.

Hrabina popatrzała, miała jakieś podejrzenia, niejasne jej to było jeszcze — zamilkła.

Kanty, nie chcąc przedłużać rozpraw, zabierał się wyjść na swobodną dumkę do siebie; żona go zatrzymała.

— Czekajże! Coś postanowić potrzeba — zawołała niecierpliwie.

— Więc postanówmy — rzecz prosta, niech Julek jedzie się przecierać, ale ja mu choć kawałek drogi towarzyszyć będę.

Alfonsyna ruszyła ramionami.

— Dokąd?

Pan Kanty przez baczną politykę nie chciał się zdradzić.

— Zobaczymy — rzekł — *cela depend*; mogę dojechać do Berlina — czy ja wiem! może dalej. Jeżeli się Buczyński, który nigdy nie podróżował, okaże praktycznym, to — prędzej powrócę.

— A jeśli się nie okaże praktycznym? — zagadnęła hrabina.

Kanty, pochwycyony tem pytaniem całe niespodzianie, ręce rozstawił, wargę mu zwisła — nie odpowiedział nic. Zamyslił się — ale po swojemu.

— Ty dziś jesteś nieznośny, z tobą nie można mówić poważnie.

Hrabia Kanty wołał już wyjść, niż się dalej sprzeczać. Spór trwał za długo dla niego, zmuszając do zatrzymania nudnego na jednym przedmiocie.

Pozostawszy sama, hr. Alfonsyna chwilę się gryzła tem, że nie mogła dobrze zrozumieć męża, nareszcie powiedziała sobie, że mu potrzeba pozwolić odbyć tę podróż i że może wyjątkowo, na ten jeden raz, miał słuszość.

Hrabia więc nad nierównie przebieglejszą żoną całkiem przypadkowe otrzymał zwycięstwo.

Nazajutrz rzecz była stanowczo urządzona; kamerdynier otrzymał polecenie pakowania waliz hrabiego, matka wyprawiła list do syna oznajmujący mu, że troskliwy o niego ojciec sam go przeprowadzić zamysła.

Niekoniecznie troskliwość ta do smaku przypadała Julkowi, lecz miał już tyle wprawy, że z ojcem sobie, równie jak z Buczyńskim, dawał rady, na jego lenistwo ciała i ducha rachując.

Kanty, nie przyznając się do tego, co zamierzał, nadzwyczaj był szczęśliwy z umiejętnego przeprowadzenia sprawy, bez ściągnięcia podejrzeń na siebie.

Że się sam czemś nie zdradził, było to — nadzwyczajnem, dziwował się temu z naiwnością dziecięcia.

Przybywszy do Warszawy, hrabia znalazł syna już w takiej gotowości do drogi, że nie miał najmniejszego pozoru do zatrzymania się dłuższego. W chwili wyjazdu skierował naprzód podróż na Berlin, wiedząc, że zamtąd łatwo w kilka godzin dostaną się do Drezn.

W stolicy dawnej Prus, która mu była znajomą, podczas gdy Buczyński z Baedekerem w ręku rozpoczął pilne oglądanie wszystkich monumentów, hrabia siedział z cygarem przy butelce wody sodowej i najprzyjemniejszem, niczem nie przerywanem, zabawiał się dumaniem. Obrawszy sobie w Hotelu Rzymskim miejsce przy oknie, spoglądał na ulicę, a ta, jak kalejdoskop, dostarczała mu najrozmaitszych tematów, tak, że myśl kołowała, wrowała i na jedno mgnienie oka nie zatrzymywała się w miejscu, co właśnie dla właściciela jej było największą rozkoszą. Było to bezmyślne myślenie.

Jak Buczyński sobie radę dać potrafił z uczniem, który więcej nim miotał niż dawał kierować sobą, jakie tam się wywiązywały między nimi kłótnie wśród ulicy, z których Julek wychodził zawsze zwycięsko — nie należy to do naszej powieści.

Trzeciego dnia Julek oświadczył, że Berlin znał jak swoją kieszeń, i że tu już nie było co robić. Na to oczekiwał ojciec.

— A no, to dobrze — rzekł — jutro jeszcze pojedziemy do Drezn, bo tych tam skarbów sztuki pominąć nie można — a tam — zobaczymy....

Julek nic nie miał przeciwko Drezn.

Przed wyjazdem swym potajemnie posłał był

Kanty do hr. Zygmunta, prosząc go o informację: gdzieby i od kogo o Ludmili się mógł dowiedzieć, i otrzymał nazwisko Prospera Sitki, z tem, aby na wystawie obrazów pytał o niego.

Gdy stanął pod Złotym Aniołem, bo do tradycji naszych należało zawsze lub pod nim stawać albo w Saskim Hotelu, hrabia kazał przynieść wody sodowej, zapalił cygaro i siadł u okna. Julek z Buczyńskim rozpoczęli zaraz pielgrzymki od Galeryi i Grüne Gewölbe.

Stary hrabia nie łączył się z nimi, jak powiadał, z tego powodu, że to wszystko było mu od wieków znane.

— Ja to, na palcach wiem! znam. Pozbywszy się towarzyszków, sam ruszył na terrasę.

U drzwi zaraz, popolsku talarem poczęstowany kasztelana, *captando benevolentiam*, pocichu go spytał o Sitkę. Znalazł się adres.

Sprzedać tego Sitki do Złotego Anioła nie mógł hrabia, nie chciał się zdradzić; po długiem więc łamaniu głowy nad filiżanką kawy, postanowił bilet mu swój posłać z zaproszeniem na terrasę.

Prosper, który od wyjazdu Ludmili chodził jak osierocony, biedny, zniechęcony, gdy mu, przywlekającemu się od Rietschla wieczorem, oddano bilet Jana Kantego hr. Ścibora, zupełnie zgłupiał. Nie mógł się domyślić, na co on Ściborowi, a Ścibor jemu mógł być potrzebnym. Znowu tedy niedostatek surduta z całą podszewką dał się uczuć dotkliwie. Trzeba było pożyczyc.

Na oznaczoną godzinę wystąpił wistocie w czapce cudzej i tużurku z Breite Gasse. Hrabia bilet podobny wizytowy (herbowy), jaki posłał Sitce, miał jako znak za kapeluszem.

Sitko mu się submittował.

— Siadaj-no pan, tego — rzekł Ścibor — a może kawy?

Sitko gotów był się jej napić.

— Mnie powiedziano, że pan tu znalazł moją synownicę, hrabiankę Ściborzanekę. Co się z nią dzieje? he?

— Żadnej hrabianki! ja! — zaprzeczył przestraszony Sitko — ja!

— Ależ proszę pana — ciągnął dalej hrabia — czarno na białem mam to od hr. Zygmunta.

Sitko chodził po własnej głowie.

— Ja tu takdalece nikogo nie znałem — rzekł — oprócz jednej panny Ludmili Brzeskiej.

Tu dopiero postrzegł hr. Kanty, iż niepotrzebnie siebie i ją zdradził.

— Dajmy na to — że to była, tak, to być mogła, panna Brzeska? cóż tedy? jest ona tu? jak się jej powodzi?

Westchnienie nader silne wyrwało się z piersi Sitki i rzekł smutnie:

— Dawno już tu jej niema!

— Jakto? a gdzie?

Ścibor się nadzwyczaj zafrasował. Taką podróż odbyć napróżno!

— Gdzież, jak? co? pytał.

— Panna Brzeska — począł Sitko — uważała, że jej korzystniej będzie na artystkę się kształcić w Paryżu.

Ścibor aż w ręce klasnął.

— A! sto tysięcy! — zawołał — co? i pojechała sama jedna do Paryża.

— Pojechała — rzekł Sitko. — Napróżno starałem się ją wstrzymać, wyperswadować, aby tego nie czyniła: wybrała się nagle.

— I nie miałes pan żadnej wiadomości?

— Żadnej.

Kanty wpadł w głęboką zadumę. Co tu było począć? Juścić nie gonić za nią do Paryża. Poświęcenie jego, przywiązanie — wszystkie uczucia dla rodziny i t. p., nie mogły go już tak daleko zaprowadzić. Czuł się straszliwie znużonym. Berlin, Drezn, ciągle potrzeba przenoszenia się z miejsca na miejsce, uważania na siebie, pilnowania myśli roztargnionych, męczyły go.

Powiedział sobie w duchu, że missa jego była skończoną. Buczyński wcale nieźle zdawał się sobie dawać radę z podróżą. Potrzeba było powracać do domu z niczem, ale z sumieniem spokojnem.

Zasmucił się tylko. Zgubioną była! Paryż! Babel! Sama jedna.

Zapytał Sitkę o to: jak się tu pannie Brzeskiej

powodziło, co robiła, jak żyła. Delikatnie napomknął: czy nie była w potrzebie jakiej.

Prosper, który z tego wnosił, że hr. Zygmunt dał jego adres Ściborowi, że między nimi tajemnic nie było — rzekł żywo:

— Była w potrzebie, ale to hrabia Zygmunt wiadomym sposobem załatwił.

Ścibor kiwnął głową, udając, że istotnie sposób był mu wiadomy, lecz się zaczerwienił mocno i zakrztusił, pomyślawszy, że obcy jego synownicę pieniądze ratować musiał.

— Tak! tak! — rzekł — pożyczyl!

— Podobno, że to się zmieniło na pożyczkę — dodał Sitko — ale, jak hrabiemu wiadomo, w początku nabył obrazy; tylko że p. Brzeska na to się nie zgodziła.

— Wiem — wiem — zabelkotał hrabia zmieszany.

Widzenie się z Sitką innych owoców nie przyniosło; pogawędziwszy z nim, roztargniony Ścibor, podziękował mu, za kawę zapłacił i poszedł pod Złotego Anioła do okna.

Szczęściem, w pierwszych chwilach po przybyciu na stanowisko nie znalazł ani syna ani Buczyńskiego, gdyż nauczyciel zmuszony był z Julkiem uczynić wycieczkę do Wielkiego Ogrodu, dokąd młodzieńca, nie pragnienie oglądania go, ale wcale inne pociągnęły pobudki. Miał więc czas, zabawiając się, hr. Kanty, zarazem nawiasowo obmyślić powrót swój do domu na Wrocław, o czem nadchodzącym oznajmił.

Zdanie rodzicielskiej władzy uroczyste na Buczyńskiego, napominania Julka, aby go szanował, groźby na wypadek wybrków i samowoli, przyjemnie dzień następny zajęły aż do nocy, a nocnym pociągiem ruszył hrabia z powrotem.

Po wyjeździe ojca, Julek, który się cokolwiek hamował jeszcze, zapowiedział Buczyńskiemu stanowczo, że słuchać go ani myśli i sam podróżą pokieruje.

— Wprost na Kolonię do Paryża! — zawołał.

Gwałtowny spór, kłótnia, niemal bój, który kłótni aż do numeru, przez nich zajmowanego, sprowadził, skończył się na pewnym traktacie, mocą którego podróż do Paryża miała prowadzić na Monachium.

Że Julianowi do stolicy świata pilno było, i że Buczyński się jej obawiał — łatwo odgadnąć. Męczennik prawdziwy, pedagog dla pewnych tylko widoków poddawał się losowi swemu. Było to jego tajemnicą.

Rok prawie upłynął od opisanych wypadków. Pan Julian z Buczyńskim gościli jeszcze w Paryżu, a to pod pozorem, iż nagle młody hrabia powziął był ogromny zapal do nauki. Brał więc lekcye i chodził na odczyty. Tak donoszono rodzicom, a hr. Alfonsyna tryumfowała, wynosząc nadzwyczaj takt i umiejętność życia syna.

— Widzisz — mówiła do Kantego — wszystko to skutki są podróży, której ty się opierałeś. Widzenie świata otworzyło mu głowę!

Buczyński radnierz poświadczał, że Julian się czegoś uczył. Tymczasem młodzieniec, porobiwszy przyjemne znajomości, wałęsał się wistocie po tak zwanej Łacińskiej dzielnicy, ale jakożwo nie nie robił.

Czas upływał mu w najprzyjemniejszy sposób. Buczyński za nim w ślad chodzić nie mógł, bo hrabia-by był na to nie pozwolił. Powracał z ogródków często dopiero nazajutrz rano. Odbierał wizyty pięknej połowy rodzaju ludzkiego, Buczyńskiemu niedając się w to mieszać; pieniądze szły jak plewy. Lecz, że p. Julian wistocie z pobytu w stolicy korzystał wiele, to nie ulega wątpliwości. Ocierał się znakomicie.

Jednego wieczora, gdy pedagog w kawiarence, nad gazetą siedział, oczekując ucznia, który zamtąd go zabierał około północy, Julek zjawił się wcześniej niż zwykle, poruszony mocno i biegiem dopadłszy do Buczyńskiego, pochwycił go za rękę gwałtownie.

— Słuchaj-że Buczyński — wiesz! wiesz, co mnie spotkało, albo właściwiej kogo ja spotkałem.

Pedagog podniósł głowę powoli.

— O! nie ciekawym! — rzekł.

— Al! założę się z tobą o poncz.—Garson, groku a mocnego!—że nie zgadniesz.

— Nie—ani będę zgadywać! — odparł Buczyński.

Julek siadł przy nim i wedle zwyczaju delikatnie począł swą ofiarę kręcić za ucho.

— Ot jak to było!—Idę Rue S. André des Arts—począł Julek, aż przedemną kroczy osoba żeńskiego rodzaju.

Buczyński splunął.

— Słuchaj—że—bo ani wiesz co to będzie—mówił młodzieniec, ubogo ubrana, ale ze smakiem. Nóżka arystokratyczna, figurka jak ulana, ruchy, tak mnie to uderzyło, bo gryzetek siła, ale coś dystygowanego. Co u licha. Z teczką pod pachą... Zabiegłem naprzód, oglądam się—wiesz kto? Kuzynka Ludmiła.

Buczyński rzucił gazetę.

— Czyż może być?—krzyknął:

— Jak mnie widzisz żywego!—zawołał Julek.—Z początku-m jej nie poznał, potem jedną razą, jakby mi się oczy otworzyły—ona. Przypadłem do niej. Ta się cofnęła, bo mnie zupełnie nie przypominała sobie, z powodu wąsów i brody.

Nie dałem się jej wymknąć. Patrzyła na mnie osłupiała, wielkimi oczyma.

— Kuzynko!

— A pan tu co robisz?—zapytała.

— Ja! ale ja tu od kilku miesięcy chodzę na.... prelekcyje do Sorbony.

Uśmiechnęła się:—Waćpan do Sorbony?

— Słowo honoru, że do Sorbony!

Ruszyła ramionami.

— Proszę—ż—zawołałem — pozwolić mnie, gdy już jesteśmy w jednym mieście, ażebym mógł widywać kuzynkę.

Namarszczyła brew.

— Nie—rzekła.—Waćpan chodzisz do Sorbony i nie masz czasu, ja pracuję gdzieindziej i godziny mam policzone. Nie potrzebujemy się widywać. Nie byłoby to miłe n rodzinom jego.

— Ale mnie! — zawołałem z uniesieniem.—Nie dała mi mówić.

— Nie bądź dzieckiem—rzekła surowo—a nie idź, proszę, za mną, bo ja do domu nie wracam. Skłoniła mi się i, dawszy od kosza—poszła. Nie dałem się jej tak wymknąć, bom nie głupi. Sam za nią iść nie mogłem, aby się nie gniewała, ale zgodziłem kommisjonera, mam jej adres.

To mówiąc, kartkę dobył z kamizelki Julek, przybliżył ją do gazu i wysyllabizował ulicę nieznaną sobie:—piąte piętro.

Buczyński kiwał głową.

— Wiesz co, Buczyński—zawołał Julek, przysiadając się do niego—żebyś ty ją teraz widział, toby ci się serce ścisnęło. Powiem ci otwarcie, że my jej daliśmy tak samej jednej w świat iść i na chleb zarabiać, to jest wielka niegodz....

— Co pan pleciesz!—przerwał Buczyński.

— Ja się w niej kochałem dawniej postudencku, ale teraz — począł Julek.—Żebyś ty ją zobaczył! Co się z niej zrobiło! Jak ubrana.... jaka mizerna! a piękna — powiem ci — jak anioł! Ty wiesz, co Paryż kosztuje. Czem—że ona żyje?

Zerwał się Julek i począł powtarzać:

— Tak—to jest wielka podłość!

Stał naprzeciw pedagoga.

— Buczyński—słuchaj stary—ja ci coś powiem. Ty musisz mi do jednej rzeczy dopomóc, he? Nic złego. Z tego, co ona mi mówiła, ja widzę, że się do niej ani dostanę, ani dowiem nic. Mnie ona drzwi zamknie; a ja chcę wiedzieć coś o niej i napisać do ojca. Tak! ale ty od siebie musisz.... pójść do niej, no, jako dawny znajomy i zdać mi rapport.

Buczyński, który tak bez ceremonii z uczniem się obchodził, jak on z nim, wybuchnął:

— Jeszcze czego? będę palce tam kładł, gdzie mi je przyskrzypną — będę się mieszał w cudze sprawy! Waćpan wiesz, że hrabina jej nie lubi. Daj mi pan pokój. Co to do mnie należy?

— Buczy! — całując go w łysę czoło—rzekł Julian, po czem otarł się pedagog — ja wiem, żeś ty tchórz i podły — ale ty to dla mnie zrobisz — bo

inaczej ja cię fatalnie skompromituję. Rozmyśl się—daję ci na to dwadzieścia cztery godziny.

Buczyński popatrzał i ani mruknął, Julian zaś tak był przejęty widzeniem kuzynki, tak poruszony, iż o niczem nie mówił, tylko o niej.

Nazajutrz rachował pedagog na lekkomyślność młodzieńczą, iż Julian zaśpi wrażenie i zapomni a dokuczać mu nie będzie. Tymczasem przy śniadaniu znowu oświadczył mu Julian z wielką stanowczością, że na niego rachuje i żadnej wymówki nie przyjmie.

— Musisz do niej pójść—rzekł i z nią się rozmówić, rozpatrzeć we wszystkim. Od tego mi się ty nie wykrećisz.

Jakie p. Julian miał środki na Buczyńskiego, aby go skłonić do posłuszeństwa, było to tajemnicą między nimi. Klócili się, pedagog oburzał się i lajał. Julek i całował go i za uszy kręcił. Kończyło się jednak na tem zawsze, że on na swoim postawił.

Dwa dni trwały o to utarczki, aż naostatek skorrumpowany, znudzony, Buczyński przyrzekł pójść do panny Ludmiły.

Nie zbywało na sercu i uczuciu temu nieszczęśliwemu niby nauczycielowi i niby dozorczy i przewodnikowi; lecz przecierpiane dawniej biedy uczyniły go trochę egoistą, nadchodząca starość budziła obawę — chciał mieć zapewniony kawałek chleba i kąta u hrabiostwa i u dawnego ucznia: poddawał się więc wszystkim z kolei koniecznościom położenia, aby się nikomu nie narazić.

Co się tyczy panny Ludmiły, tę widywał zdaleka, była mu obojętną nie miał dla niej ani sympaty ani odrazy. Jak się miał znaleźć z tą osobą, do której w czasie jej pobytu na wsi, zaledwie kilka słów obojętnych przemówił? sam nie wiedział dobrze.

Z adresem danym sobie przez Juliana, kwaśny, poszedł Buczyński na wskazaną uliczkę. Była to jedna z tych najniepozorniejszych, które najuboższy proletaryat wszelkiego rodzaju zamieszkuje. Ogromnej wysokości domowstwa piętrzyły się po obu stronach, u dołu zajęte przez sklepiki, u góry przez nieszczęśliwych skazanych na zatrute powietrze, brak słońca, brak światła i brudy, które ubóstwo z sobą niesie.

Gdzieniedzie przy piątym i szóstym piątku żelazna galeryjka, utrzymująca kilka doniczek zieloności, nasturcyje, petunie, trochę trawy, jakby mała oaza ożywiała tę napowietrzną pustynię. Ludność snująca się tu inaczej wyglądała niż na szerokich i przestronnych ulicach stolicy, składała się ona z rzemieślników w bluzach, z tandeciarzy, z ludzi zbrukanych i odartych, z kobiet zaledwie przyodzianych, z dzieci odartych i rozwidrzonych. Co kilka domów szynk, bulion, kawiarenka licha służyły za przytulisko błądzącym. Wielkie wozy z rozmaitym materiałem kazały się tu domyślać fabryk i warsztatów.

Buczyński dobił się wskazanego numeru i doszukał się budki, w której niewiasta poważna, z nieodstępnym kotem faworytem, zastępowała portyera.

Ta wskazała mu, zaledwie nań raczywszy spojrzeć, piąte piętro naprawo, z lekceważeniem, które się kazało domyślać, że lokatorkę niewiele też ceniła. Powłókł się więc pedagog powoli, obliczając się z piętami i na ciasnych wschodkach wymijając z kobietami, które schodziły pośpiesznie, klócąc się z sobą i lokatorami.

Zdyszany, dosięgnął wreszcie celu i na drzwiczkach zobaczył przyklepioną kartkę z napisem: *Mr Ludmila Bres.... Artiste peintre.*

Zadzwoił — kazano mu czekać dosyć długo, nim naostatek kobieta młoda, blada, wychudzona, ubrana bardzo ubogo, z paletą w ręku, otworzyła drzwi, wyglądając ciekawie.

Z trudnością byłby w niej mógł Buczyński poznać piękną, młodą, imponującą swą postawą Sciborzanek, która patrzyła nań zdumiona, wcale go sobie nie przypominając.

Pedagog niewyraźnie mówić zaczął, uchylając kapelusz, że jako ziomek i niegdyś, choć zdaleka jej znajomy, miał sobie za obowiązek złożyć jej uszanowanie.

Ludmiła jeszcze go sobie nie mogła jakoś przypomnieć, aż powiedziec jej musiał, gdzie ją spotkał, i jakie miał funkcyje u hr. Kantych. Słuchając go, namarszczyła się nieco panna, jakby się wahała, czy go ma wpuścić, gdy Buczyński dodał głosem niesmiałym:

— Ja pani długo przeszkadzać nie będę — ale, sam tu jestem, mój uczeń po całych dniach bruki zbija; słowa do kogo przemówić nie mam.

Weszli tedy do środka, a przybysz rozglądał się ciekawie. Jawnem było, że artystka chyba tu nikogo przyjmować nigdy nie musiała. Bardzo ciąsny przedpokoik prowadził do dużej dosyć izby, która była zarazem pracownią, gościnnym salonem i zapewne jadalnią. Drzwi otwarte, przez które widać było małą sypialnię — i wszystko. Duży pokój pełen był przyborów malarskich; poczuł Buczyński w nim silną woń terpentyny i werniksów i — postrzegł, że posadzić go tu będzie dosyć trudno. Na jednym krześle stało pudełko z farbami, na drugim leżał przyodziełek do wyjścia na ulicę, tylko co zrzucony, razem z kapeluszem słomkowym i parasolikiem, więcej niż skromnymi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRYSTYNA

KRÓLOWA SZWEDZKA.

(Christina, Königin von Schweden — Ein Lebensbild von Franz Schauerte—Freiburg 1881).

(Dalszy ciąg).

Szczegóły powyższe, nieznane dotąd naszej publiczności, są, zdaniem naszym, godne zanotowania. Oryginalna ta postać kobieca może nas jeszcze zająć niepospolitem swem wykształceniem, oraz tem, że była jedną z głównych osób owego czasu w Europie, koncentrujących naokoło siebie niezwykle ruch naukowy, literacki i artystyczny.

Więcej nawet powiedzieć można, a mianowicie: że stosunki Krystyny, prawie ze wszystkimi znakomitymi mężami Europy, były powodem ukazania się niepospolitych dzieł nauki i sztuki. Tak na przykład przez nią pobudzeni zostali do napisania najlepszych swych poematów: filolog Hein-sius, poeta Balzac, Menage i wielu innych, a bibliotekarz jej Freinsheim, włoski uczony Ferrarius, filolog Valesius i numizmatyk Spanheim do napisania klasycznych wzorów wymowy. Na jej wyażne żądanie napisali Kartezyusz i Freinsheim filozoficzne rozprawy, uczony biskup Terserus dokonał nowego przekładu Starego Testamentu, Hein-sius bardzo cennego wydania Owidyusza, Klau-dyana i Wirgilego, historyk Scheffer wypracował kilka dzieł uczonych, a historyograf Schemnitz *Historia belli germanici*.

Krystyna była istotnie dla uczonych owem świecącym słońcem, którego łagodne światło i ciepło wyprodukowało owoce ich ducha, a nie ograniczała się w tem do jakichś ulubionych studiów, ale opiekę rozciągała nad wszystkimi gałęziami sztuki i wiedzy, wspierając pracowników z nadzwyczajną hojnością. Można nawet twierdzić, że historia nie zna drugiego przykładu takiego królewskiego wynagradzania znakomitych ludzi. Tytuły, podnoszenie do szlachectwa, pieniężne honoraria: oto były jej środki, które wydobywała, nie z funduszy państwa, ale ze swych prywatnych dochodów.

Prywatne też dochody swoje obracała na zakup najlepszych książek i dzieł sztuki. Będąc niezmiernie zamiłowaną w rzadkościach, rozsyłała uczonych po całej Europie, z poleceniem nabywania najlepszych i najrzadszych dzieł literatury i sztuki. Biblioteka jej była rzeczywiście niezmiernie bogatą i kosztowną. Jakkolwiek z chwilą abdykacyi Krystyny, i podczas jej podróży do Włoch, poprostu rabowano jej bogactwa

w książkach i dziełach sztuki, pomimo to przewieziono do Rzymu jeszcze 2145 starych rękopism. Utrzymują zaś, że było ich poprzednio 8000, a pomiędzy temi 700 hebrajskich (Starego Testamentu). Posiadała nadto wspaniałą galerię obrazów, posągi z marmuru i brązu, wyroby z kości słoniowej, koralu, kryształu, mnóstwo starożytnych monet złotych i srebrnych, lustra stalowe i t. p., i t. p., tak że Naudé zapewnia, iż bogatszego zbioru nie było we Włoszech. Olbrzymie te zbiory pomnażała ciągle królowa w czasie swego pobytu w Rzymie za pomocą skrzętnego dopytywania się przez przyjaciół i agentów o wszelkie osobliwości. Nadzorcami nad temi zbiorami byli niepospolici uczeni, jako: Holstein, który na nich dzieło swoje oparł, Spanheim, który na żądanie Krystyny i zużytkowawszy jej gabinet numizmatyczny, napisał dzieło, dziś jeszcze sławne, o monetach; starożytnicy: J. P. Bellori, którego dzieła dziś jeszcze są cenione, Fr. Cameli, T. Chifflet i Gothifredi, którego piękny i kosztowny zbiór numizmatów nabyła Krystyna.

Skarby te, z których chętnie użytkować pozwalala w naukowych celach obcym i miejscowym, stanowiły niejako podstawę jej szerokich stosunków z uczonymi i znawcami dzieł sztuki; ponieważ była ona ciągle ogniskiem, około którego kupiły się wyższe duchy. a jej polecenie lub pochwała starczyły na uświęcenie czyjegoś nazwiska. Dlatego nazywano ją: „ozdobą i cudem stulecia“, „największą z królowych, która sławniejszą się stała przez sławę swej nauki, aniżeli przez swoje rządy“.

Nadto powiedzieć trzeba, że Krystyna przeznaczala swe dochody na wsparcie potrzebujących a zasłużonych, gdyż nie było ubożego, którego by nie pocieszyła, nie było uczonego, którego by nie obsypała nagrodami.

Od czasów Augusta, — pisze ktoś, — nie miał Rzym dobroczynniejszego mecenasa, tak, że można było powtórzyć pochwałę Trajana: „Za ciebie, królowo, przywrócono nauce ducha siłę i ojczyznę“. W ten sposób wspierała wielkiego poetę Vincenzo da Filicaja z Florencji i wychowywała nawet dwóch jego synów, ale pod warunkiem tajemnicy „gdyż nie chciała się rumienić za to, iż dla tak wielkiego męża tak mało uczyniła“. Podobnie korzystali z łask jej poeci włoscy: A. Guidi, B. Menzini, hr. de Lemené, T. Redi, francuzka powieściopisarka Scudéry i inni. Zostawała w nieustannych związkach ze słynnym znawcą starożytności Ferrarim i z równie słynnym filologiem Anną le Fèvre. Wspierała filologa Ryekiusa, polityka i historyka Pufendorfa i profesora Wasmutha, któremu na wydrukowanie jego dzieła p. t.: „Novum opus astro-chronologicum“ dała 15,000 talarów.

W matematyce i naukach przyrodzonych porozumiewała się ciągle piśmiennie i ustnie ze sławnymi uczonymi: Cassinim, Foricellim, Vivianim, Marchettim i Borellim, któremu pensją roczną płaciła i kosztom swoim wydała, dziś jeszcze cenne jego dzieło „o mechanice ruchów zwierzęcych“. Wszystkich tych pisarzy pobudzała energicznie do dalszych prac, sama też lubiła się zajmować astrologią i alchemią, jakkolwiek w nie nie wierzyła.

Szczególnie gorliwą baczność zwróciła Krystyna na sztuki piękne i literaturę; wpływ też jej na rozwój włoskiej literatury był powszechnie uznany. Ranke robi uwagę, że naówczas włoska poezja odznaczała się przeładownością, wyszukiwaniem i drobiazgowością, co w wysokim stopniu nie podobało się Krystynie. Założyła przeto w r. 1680 Akademię dla ćwiczeń literackich i politycznych; pomiędzy warunkami postawiła najgłośniejszy, iżby się strzeżono metafor i przesady, a pilnowano wzorów augustowskiego i medycejskiego stulecia. Szczególne też sprawia wrażenie, gdy się w bibliotece Albani w Rzymie natrafia na prace tej Akademii, i dostrzega, że są pisane przez włoskich pisarzy, a poprawiane ręką północnej królowej. Dodaje zaś trzeba, że z jej Akademii wyszli tacy ludzie jak M. Guidi, który pod kierunkiem królowej niemało się przyczynił do oczyszczenia stylu z dawnych wad i naleciałości. Każde posiedzenie tej Akademii, gdy w niem przewodniczyła królowa, zaczynało się i kończyło

muzyką, którą królowa namiętnie lubiła. Wszystko, co ważniejsze, czego dokonano na tych posiedzeniach, ogłaszano drukiem, zawiadamiając o tem znakomitych uczonych w kraju i zagranicą, i zachęcając ich do prac literackich.

Królowa sama była czynną współpracowniczką tej Akademii, dając moralne i filozoficzne tezy do rozwiązania, pisząc charakterystykę jakiegoś bohatera świata, lub komponując włoski poemat. Do dziś dnia przechował się spis tych tez, które przeznaczyła jako cel dysputacji w rzecznej Akademii.

Potrzeba tutaj dla uzupełnienia obrazu duchowego życia tej niezwykle niewiasty dodać, iż sama napisała kilka dzieł jako: *Maxymy i sentencje*, które właściwie są aforyzmami (jest ich 1200), *Reflexyie nad życiem Cezara i Alexandra Wielkiego* i *Pamiętniki* własne, lecz niedokończone, które są pisane z taką prawdziwą czy umiejętną szczerością, iż w prawdę ich bezwarunkową wierzyć się jest gotowym. Wprawdzie apologista jej, autor książki, o której mówimy, wierzy w nie najzupełniej, tak jak wierzy w czystość i nieskalaność moralną Krystyny; jednak my nie ufając zupełnie świadectwu księżnej Orleańskiej: „iż była bardzo rozluźnionych obyczajów“, ani innym, twierdzącym, że „gusta ma dziwaczne i rozrzucone, a o religii i obyczajach nie dba“, woleliśmy zastanawiać się raczej nad tem, co stanowi jej istotną wielkość i niepospolitą zaletę.

Dodać trzeba, że kosztowne jej rękopisma i książki dostały się papieżowi Alexandrowi VIII, który je darował Watykańskiej bibliotece, gdzie się znajdują dotąd pod tytułem: „Biblioteka Alexandryjska“.

* * *

Mówiąc o tak głośnej królowej, jaką była Krystyna Szwedzka, niepodobna pominąć milczeniem owego fatalnego zajścia w jej życiu z Monaldeschi. Stało się to za drugiego jej pobytu we Francji, w r. 1657, w którym przybyła do Fontainebleau. Od niejakiego czasu szczylił się wielką jej łaską jej nadkoniuszy, markiz Monaldeschi, członek znakomitej włoskiej rodziny. Powierzała mu najskrytsze i najważniejsze sprawy, atoli nagle zaczęła go podejrzewać, a nawet wykryła z przejętych listów, że on ją zdradza, lecz zdradę tę, na jednego z nieobecnych dworaków, hrabiego Sentinelli, zważyć usiłuje. Monaldeschi w przekonaniu, że królowa o niczem nie wie, rzekł do niej pewnego razu: „W. K. Mość jesteś zdradzana, a zdrajcą jest albo ktoś nieobecny, którego W. K. M. zna, albo ja — kto inny być nim nie może. Zapewne wkrótce dowie się W. K. M. kto jest nim, zapewne, a wtedy proszę nie przebaczyć winnemu“. — Królowa na to: „Na co zasługuje taki zdrajca?“ — „Na śmierć natychmiastową“, — odrzekł, — i ja podejmuję się sam wykonać na nim wyrok śmierci, albo sam zginąć, ponieważ będzie to aktem sprawiedliwości“. — „Dobrze“, — odpowiedziała królowa, — przypomnij sobie własne słowa, a ja ci obiecuję, że mu nie przebaczę“.

Wkrótce potem oddała opatowi z Fontainebleau, ojcu Le Bel, pod pieczęcią tajemnicy, pakiet zapieczętowany z poleceniem oddania go jej, gdy go zażąda i zapamiętania czasu i miejsca, w którym go odebrał. Tymczasem Monaldeschi, nieotrzymując listów, powziął obawę i zamyślał o ucieczce. Wtedy królowa zaważwała go do siebie, do tak zwanej galerii jeleniowej. Skoro on wszedł, błady i zmieszany, wszedł równocześnie opat le Bel z owym pakietem, i dowódzca straży przybożnej królowej z dwoma żołnierzami. Drzwi natychmiast zamknięto, poczem Krystyna rozpieczętowała pakiet i wyjąwszy zeń listy, zapylała Monaldeschiego: czy je poznaje? Zrazu nieszcześliwy usiłował się wykręcić dowodzeniem, że listy te pisane są ręką królowej, ale wtedy ukazała mu ona oryginały listów, obwiniając go zarazem o fałszowanie i podrabianie korespondencji. Gdy nadto, natychmiast kazawszy go przetrząsnąć, znalazła przy nim dwa jeszcze listy podrobione, wina była dowiedziona, a Monaldeschi rzucił się królowej do nóg, błagając o łaskę. W tym momencie trzech uzbrojeni dobyli szpad,

Monaldeschi godzinę jeszcze usprawiedliwiał się przed królową, która wezwala opata na świadka, jako się wcale nie śpieszy i zdrajcy więcej czasu zostawia niż na to zasługuje. Uniewinniania się wszakże jego nie wzruszyły królowej, bo donośnym głosem odezwała się: „Księżę opacie, zostawiam tego człowieka w waszych rękach: przyciśnij go na śmierć“. ¹⁾ Opat i Monaldeschi rzucili się jej do nóg, błagając o przebaczenie; winny prosił o zamianę kary śmierci na wieczne wygnanie, na co Krystyna odrzekła, że dla niego lepiej będzie umrzeć, aniżeli żyć bez honoru, i odeszła mówiąc: „Oby ci Bóg przebaczył; ja sądzę sprawiedliwie“.

(Dokończenie nastąpi).

Odczyty p. Dygasińskiego

„0 metodzie poglądowej“.

P. Dygasiński, znany pedagog, rozpoczął w zakładzie frebrowskim p. Mleczkowej przy ulicy Wiejskiej szereg odczytów o metodzie poglądowej; pierwsze trzy wypowiedział przed świętami wielkanocnymi i z nich właśnie zamierzamy zdać relacyę. — następne, a ma ich być jeszcze 9, rozpoczęły się właśnie. Dotychczas przedstawiono nam dopiero cały aparat przygotowywający; na grunt właściwy t. j. do lekcji wzorowych prelegent przejdzie dopiero w odczytach teraz następujących, które tym sposobem jakby osobną seryą tworzyć będą.

Pierwszy odczyt prelegent poświęcił historii metody poglądowej, poczynawszy od Lutra, Melanchtona, Erazma Rotterdamskiego, którzy pierwsi przemawiali za wiadomościami realnymi; żałujemy, że nie wspomniano tu o Grzegorzcu z Sanki, który o wiek cały wyprzedził ten zwrot umysłów, nazywając jednostronny kierunek scholastyczny „marzeniami na jawie“; zasady głoszone przez niego zawczesne były na swój wiek, aby się przyjąć mogły, czekać musiały na Bakona; ten nowe drogi umysłem otworzył i ztąd ma on takie w historii metody poglądowej znaczenie; po nim idą: Montaigne, Retichius, Locke. Zastęp mężów, uprawiających metodę poglądową na polu praktycznym, rozpoczyna świetnie Komeński przez głośny swój „Orbis pictus“, ułożony podług zasady: „niechaj wszystko, co się tylko da i o ile można, zmysłom przedstawione będzie“. W roku 1874 Czesi obchodzili dwóchsetną rocznicę zgonu Komeńskiego; Antoni Bądzkiewicz napisał o nim broszurę (Lwów 1874). Następują: Franke, Rousseau, Basedow, Salzmann, Rochow, Pestalozzi; zasługi ich, a zwłaszcza Salzmana i Pestalozzego, prelegent streścił wymownie: pierwszy znacznie posunął metodę naprzód, dowodząc, że trzeba dzieciom przedstawiać rzeczy, nie zaś obrazki, że trzeba koniecznie naukę rozpoczynać od najbliższego otoczenia, nie zaś od Raju, Araratu, Hellady, Romy, „progi naszych domów pogniły, a my na Kapitolu“. Zasługi i reforma drugiego znane są prawie powszechnie, zasady jego do trzech dadzą się sprowadzić punktów: 1-o zakres spostrzegania należy coraz bardziej rozszerzać, 2-o wrażenia wpajać z jasnością i pewnością bez najmniejszej zawilości, 3-o wszystkiemu, co natura lub sztuka do umysłu przynosi, należy dawać obszerne rzeczowe objaśnienie. Można by stworzyć osobną bibliotekę z książek, broszur i artykułów, w których niebrak i polemicznych, napisanych w tym przedmiocie od czasów Pestalozzego do dni naszych. Nadawano różne znaczenie, zadanie i zakres metodzie poglądowej; każdy lepszy elementarz zawierał odtąd materiał do rozwijania pojęć dzieci, zanim do książki przystąpią. Nauczanie poglądowe jako osobny przedmiot usunięto w r. 1854 ze szkół pruskich, została tylko metoda

¹⁾ Królowa, abdykując, wymówiła sobie prawo sądu wyłącznego nad całym swoim dworem.

poglądowa przy nauczaniu przedmiotów, programem szkoły objętych; zakaz ten odwołano w r. 1872.

Prelegent zapanował nad ogromem materiału, potrafił w jednogodzinnym wykładzie wybrać rzeczy najważniejsze, zgrupować mniej ważne, przez co całość dość jasno się przedstawiła. W drugim zaś odczycie nie tak łatwo już mu przyszło pokonać nadmiar materiału i zawilość kwestyj, które objąć i przedstawić zamierzył. Skrytykował mechaniczny sposób początkowego nauczania (co nam przypominało retoryczny nieco początek broszury prelegenta p. t.: Nauczanie bez książki) wykazywał na jakim gruncie oprzeć się ma nauczanie poglądowe i do jakich zdążyć celów; w tej drodze potrafić trzeba było: o psychologię, odnośnie do stopniowania się władz pojmowania; o lingwistykę, odnośnie do tworzenia się wyrazów, t. j. nazw na rzeczy i pojęcia. Słuchacze, czyli właściwie słuchaczki, mało są obeznane z podobnymi kwestyami, z których nie wszystkie dały się ująć w wykład popularny, a niektóre znów przedstawiono w sposób „niekonwencyonalny” jakby się Bain wyraził, czyli że nie znalazły w słuchających pojęć dawniej sformułowanych, z tych względów zachodzi wątpliwość co do praktycznej korzyści z tego odczytu. Trzy jednak punkta oznaczyły nam się jasno: 1-o dotychczasowa nauka czytania pisaną i rachunków jest niedołężna, błędna i wychodzi na to, jakbyśmy uczyli używać łyżki, noża i widelca, ale pokarmu nie dawali; 2-o nauka poglądowa nie stanowi osobnego kursu, ale tylko jako metoda dobiera i grupuje materiały, wzbogacając przez pośrednictwo zmysłów świadomość dziecka, wyrabiając jego zdolność obserwowania i władze umysłowe, 3-o za punkt wyjścia musi tu służyć świat najbliższy; poznanie rzeczy, zjawisk i prawami rządzących daje jedyną podstawę do dalszego rozwoju intelektualnego: żadne retoryczne formuły miejsca tu mieć nie mogą, moralność wpływać musi z poznania i doświadczenia na sobie praw fizycznych.

Nie tu miejsce polemizować z szanownym prelegentem, nie możemy się jednak od dwóch uwag powstrzymać. P. Dygasiński uparcie ignoruje dydaktykę polską: nie wspominał żadnego polskiego nazwiska przy historii metody poglądowej; jeśli nie było tam na nie miejsca, przypuścmy dlatego, że na organiczny rozwój tej metody Polacy nie wpływali, to było miejsce na początku drugiego odczytu, gdzie padł taki surowy wyrok na nasze elementarne nauczanie. Godziło się tu choć wspomnieć o instrukcjach i wskazówkach, jakie Kommissya i Izba Edukacyjna odnośnie do rozwijania pojęć dziecka przed zaczęciem nauki pisaną i czytania nauczycielom podawały. Nie ustępują one w wielu względach najnowszemu nawet elementarzom niemieckim, jak n. p. Kebra i Schlimbacha, których to autorów prelegent pomiędzy kilkudziesięciu innymi w pierwszym odczycie wymienił. Snać nie zasłużyli na łaskę jego tacy reformatorowie wychowania i twórcy naszej dydaktyki jak Konarski, Kołłątaj, Kopczyński, Piramowicz, Wolski, Potocki, Linde, Czacki, Śniadecki i in., z nowszych Jachowicz, Estkowski, Zaruski, Fr. Nowakowski, Jeske. Niechby prelegent zwrócił uwagę choć na dwie broszury Nowakowskiego: „Jak Izba edukacyjna polecała przygotowywać dzieci do nauki czytania (Lwów 1872)”. „Jak niemieccy pedagogowie polecają przygotowywać dzieci do nauki pisaną i czytania (Lwów 1874)”.

P. Dygasiński mówi wobec kobiet, z których większa liczba, gotując się do zawodu nauczycielskiego, lub już go rozpoczynając, przyszła, aby się oświecić w tak ważnym przedmiocie; co one zrobią z taką wiadomością, że moralność wpływać ma z praw fizycznych? Czy jakaś niedoważona osobka nie pokusi się zaraz o praktyczne zastosowanie tej wiedzy przez lekceważenie tych zasad moralności, które się z praw fizycznych wyprowadzić nie dadzą? Obawiamy się o te słuchaczki, które fałszywie mogły wytlómaczyć sobie słowa prelegenta, a nie powinienby on być tak rozumiany choćby dlatego, że w trzecim odczycie wyraźnie zaznaczył, jako pedagog musi być daleki od wszelkiej tendencji i doktryny. Ten trzeci

odczyt był jakby pogłębieniem drugiego; tutaj rozjaśniły się rzeczy, które tam mogły być mało lub opacznie pojęte: odczyt ten cały był zajmujący, ważnością zadania i miłością przedmiotu owiany. Pięknie zaznaczył prelegent we wstępie, że pedagog powinien sumiennie być przygotowany do swej pracy, że niewolno mrozić eksperymentu na przyszłym obywatelu; zaznaczył następnie, że trzy kierunki, jakie różni pedagogzy naznaczają nauczaniu poglądowemu, t. j. kształcenie zmysłów, języka i myślenia, nawzajem się dopełniają. Objasniał, jak trzeba przeciwdziałać zbytnej ruchliwości dziecka, oddalać od niego wszelkie przedmioty i zjawiska złożone i chaotyczne, a tylko poddawać prostotne i zwracać uwagę na pojedyncze cechy, lub ich jednorodne szeregi; trzeba kształcić *sposobem*, przytem skontrolować, skorygować nabyty już zakres pojęć i doprowadzić do karności logicznej, a następnie materiały ten przez nowe operacje poglądowe dopełniać, rozszerzać dotyla, aby zdobyć grunt do *samodzielnego* myślenia: pocóż bowiem przeładowywać żołądek, jeżeli on trawić nie może? Taką drogą kształcimy zmysły, ustalamy pojęcia i wyrazy, na ich nazwanie służące, a cała ta praca w organicznej postępuje jedności; w następstwie rzeczy kształci się uwaga, władza sądzienia i wnioskowania, pamięci i fantazyi. Mówił dalej prelegent o kształceniu uczucia i woli (chcenia) w czem odstąpił nieco od postulatów, wypowiedzianych w przeszłorocznym odczycie publicznym p. t.: Nauczanie nowoczesne wobec opinii, gdzie wszystkie te kierunki umysłu, a także moralność i religijność, miały być tylko różnymi stopniami poznania rozumowego.

Prelegent rzeczywiście porzucił tu tendencyjność i doktryneryę, wypowiedział niejedno ciepłe słowo, trafił do przekonania słuchających; zachęcając do uczęszczania na dalsze wykłady, które jako lekcye wzorowe najwięcej obiecują doraźnych korzyści osobom, zajmującym się nauczaniem. Zapewne odczyty p. Dygasińskiego ukażą się publiczności, otoż zwracamy uwagę szanownego autora, aby przy ostatnim jej przygotowaniu nie pominął dydaktyki polskiej; nawet na najniższym stopniu nauczania uwzględniać trzeba właściwości narodowe. Czyżby obliczenie się z wiekową pracą naszych ojców nie było naszym obowiązkiem; czyż zresztą wolno nam z góry przesądzać, że rachunek się nieopłaci?

Wł. Nowicki.

Dwa odczyty p. Jurkowskiej

W SALI RATUSZOWEJ

„0 poezyi Wschodu.” — „0 pieśniach naszego ludu.”

O odczytach p. Jurkowskiej rzeczywiście sprawozdanie jest niemożliwe, niepodobna bowiem rozbić tego, co do rozbioru żadnych danych nie posiada. Były to dobre, a raczej śmiałe, niezmiernie śmiałe, chęci i nie nad to. Wyjątkowe niepowodzenie tych odczytów nie stanowiło jednak dla Warszawy zawodu; pomijając już to, że dwa tak rozległe temata miały być zamknięte w dwóch godzinach, myśląca publiczność uczuła się zadziwioną takim ciężarem, jaki prelegentka na siebie nałożyła. Ile studiów wymaga każdy z obranych przedmiotów, specjalnego poświęcenia mu lat, uczynienia zeń sobie naukowego zawodu? P. Jurkowska pracuje na innem polu; lat temu kilka skończyła w Warszawie gimnazjum rządowe, następnie stanęła na czele 5-klasowej szkoły dla dziewcząt w Płocku, takie więc studia literackie: jak poezya całego Wschodu, jak pieśni ludowe narodu, przedstawiały przez ogrom pracy trudności niepodobne do pokonania w czasie i okolicznościach ograniczonych. Jeżeli przecież prelegentka przez szczególne rzeczy zamiłowanie pragnęła koniecznie mówić w tym kierunku, należało chociaż wybrać z dwóch przedmiotów jeden, przestudiować w nim jakie dzieło dobre, poważnie naukowe, poczynić z niego wyciągi

a byłaby się wywiązała z zadania choć bez samodzielnej, oryginalnej myśli względnie dobrze, nie narażając, najpierw siebie na tak przykre sądy, jakie cała prasa wydać musiała, następnie sprawozdawców na to, że je czynić byli obowiązani. Noblesse oblige... katedra publiczna, słowo odzywające się do ogółu, ma godność wysoką; kobieta zaś, która tu jest nowicyszką, świeżo do prawa publicznego głosu przypuszczoną, powinna bardzo o tem pamiętać, aby nie podpaść zarzutowi lekkomyślności, kompromittującemu tem więcej, jeżeli zawodowa jej praca jest poważnego charakteru, poważnego znaczenia wśród społeczeństwa. Ludzie mogą łatwo, a nawet muszą koniecznie, zrobić tu porównanie i wyciągnąć z niego wnioski niekorzystne.

Chcąc sobie przyswoić jakiś przedmiot wiedzy bez studiów, bez naukowego mozolnego, narażamy się na to, że sądy nasze stają się nie tylko bezzasadne, ale mogą być fałszywe i tak na przykład p. Jurkowska mówiąc w prelekcji drugiej, że religia pozostała bez wpływu na naszą pieśń ludową, popełniła przypadkiem wielką omyłkę, bo właśnie jedną z najbogatszych gałęzi ludowej naszej pieśni stanowią kolendy.

Język, styl i wygłoszenie odczytów były ładkie, przyzwoite; byłyby nawet przyjemne, gdyby ta szata zewnętrzna miała co okrywać i zbiór wyrazów miał jakąś treść do oddania.

Marya Ilnicka.

NOWINY PARYŻKIE

Paryż dzisiejszy w czasie Wielkiego Postu. — Kościół Notre-Dame de Paris i konferencye wielko-postne ojca Monsabré, Dominikanina. — Portret tego sławnego kaznodziei; rodzaj jego wymowy, układ kazań i główne przymioty talentu. — Jeszcze ex-ojciec Jacenty i nowe jego niepowodzenie w dążeniu do zawładnięcia kościołem Wniebowzięcia N. Panny. — Nowatorstwa literackie. — Pan Zola. — Nowa jego książka — Zwołennicy „Mistrza z Medanu”. — Hennique i jego nowe powieści. — Naturaliści i Natura. — Dramat sądowiczy przed Trybunałem w Nancy. — Dwie katastrofy ogniowe: Teatr w Nicei i Magazyn du Printemps w Paryżu.

Paryż, w Kwietniu 1881 r.

(Dokończenie).

Mówiąc o nowej religii i nowym kościele, nie zapominajmy i o nowej literaturze. Jest to również zreformowany kościół, którego kapłanem jest pan Zola z Medanu! Apostoł naturalizmu i uczniowie jego krzają się pilnie. Wyszedł teraz drugi tom *Naturalizmu w Teatrze* p. Zoli; w ostatnim liście wspominałem już przy pierwszym tomie o dążności i treści całego dzieła, dziś więc zapisuję tu jedynie wzmiankę o drugim tomie, i to tylko *pro memoria*. Mówiłem również o ostatniej powieści Vast-Ricourda. Teraz słówko — ale słówko tylko, o nowej powieści, jednego z koryfeuszów Medanu. W Bruxelli wyszła na świat mała, ale ważna książeczka; występuje w niej nowa szkoła, nowe jej eksperymentalne dążności. Autorem książki, obejmującej dwie powiastki, jest p. Hennique. Pierwsza powiastka, *Pogrzeb Frasyny Clavara*, jest obrazem wziętym z natury biednego pogrzebu, gdzie niewiada nic, tylko całuny, gromnice, groby i krzyże. Druga, weselsza: *Benjamin Rozet*. Weselsza, ale nie wonna! Tu dopiero naturalizm w całym swoim blasku. Jest to historia prawdziwa, jakiegoś notariusza z prowincyi, chorego na soliterę! Pozbycie się tego robaka i użyte ku temu środki, zapełniają kartki powieści, w której żaden szczegół nie jest opuszczony, a obrzydliwość przedmiotu i opisów wszelkie wyobrażenie przechodzi. Przyzwoitość i obowiązki dla moich czytelników, nie pozwalają mi tu wszystkich okien otworzyć i ukazać wnętrza dziwnego utworu.

Ale niech sobie pożytywiści, naturaliści i wszyscy ozdobieni końcówką *isci*, zaglądają do wszystkich ustronnych kątów, do wszystkich naczyń, opisują własności i naturę *bothriokefalów*: nigdy

nie stworzą ani z tych odłamków potłuczonego zwierciadła, — pięknej, czystej, jasnej i jednolitej pierwotnej powierzchni. Nigdy z uzbieranych okruszyn nie zlepią takiego posagu, jaki tworzy natura i nie wyprowadzą z tych pokręconych opowiadań, takiego moralu i takiej prawdy, jaką nam daje natura sama.

Nie chcę i nie mam potrzeby szukać daleko na to przykładów i dowodów, bo oto mam pod ręką wypadek, który co do całości i doskonałości układu, co do siły dramatycznych wrażeń i wreszcie strasznego moralu, jaki zeń wysnuć pozwala serce człowieka — przechodzi owiele wszystkie dramata i powieści, największych pisarzy, czyto idealnej czy pozytywnej szkoły.

W Nancy, niegdyś stolicy jednej z dzielnic Polski — bo przecież nasz to szlachcic, nasz król polski, Leszczyński, był niegdyś panem Lotaryngii i Baru — wytoczył się proces, który jest ostatnim epilogiem strasznego dramatu. Odegrał się on w Afryce i w Europie; dwie rasy dostarczyły aktorów, a prawdziwą bohaterką i ofiarą jest kobieta, a dotego niewolnica, dziecko owego-to potępionego przed wieki, do służby Chama, Nubijka. Posłuchajcie więc opowieści — bez dodatków, bez upstrzenia — jak ją nam opiewa wniesienie urzędowe tej sprawy przed trybunałem w Nancy; posłuchajcie: a jestem pewien, że korespondentowi waszemu przebaczyć do zboczenie do urzędu prawa.

W 1842 roku, Francuz, niejaki p. Henryk Husson, magister scientiarum, to, co Francuzi nazywają: *Maitre répétiteur es sciences*, opuścił kraj, szukając lepszej posady i przyszłości pewniejszej, z zamiarem, jak mu się zdawało wówczas, niepowrócenia już nigdy pomiędzy swoich. Nauczyciel czy professor, jakich tu tuzinami widzimy co rok, opuszczających szkolne ławki, biedny, spragniony chwały, a bardziej jeszcze pieniędzy, z chciwością i bez najmniejszego wahania się, przyjął ofiarowaną mu posadę w Egipcie, gdzie sławnej pamięci Ali-basza i jego syn Ibrahim otaczali się z upodobaniem officerami i uczonymi Francuzami.

Tym razem, biedny bakałarz znad Sekwany, „złapał dyabła za ogon“, a z nim też ujął i złoty kosmyk fortuny. Przyjęty niezmiernie łaskawie w Kairze, dzięki opiece swojego rodaka, półkownika Sélvrea, wkrótce mianowany został „Naturalistą rządowym“. Choć tytuł był nieco dziwny, ale, że honoraria były dziwniejsze jeszcze, bo bardzo wysokie, Francuz przyjął urząd z należytą powagą, i wkrótce wysłany został, z naukową misją do Górnego Egiptu i Nubii, podległej egipskiemu rządowi.

W jednej z tych scienceficzných podróży, nad brzegami Nilu, młody professor — Husson, miał wówczas lat dwadzieścia pięć — kupił sobie młodą abisyńską niewolnicę, nazwiskiem Zagfranę — piękną, szykowną, jakby brązowy posąg bogini miłości. Ukochana z biegiem czasu powiła mu syna.

Oto początek i zawizek powieści: prosty, jasny, naturalny — nieprawdaż? a chwytający zaraz za serce! Zagfrana, imię samo już tak piękne, harmonijne, jakby umyślnie dla powieści stworzone; Zagfrana, jest to bohaterka dramatu, który opowiadać będziemy.

Zagfrana, ukochała młodego Francuza, nie jako niewolnica swojego pana, ale jako kochanka ubóstwionego człowieka — nie dziwnego! Professor był młody, przystojny, dobry i ludzki w obchodzeniu się z matką swojego dziecka, a znalazłszy w młodej kobiecie, serce i duszę, które odpowiadały piękności jej ciała, przywiązał się do niej. Stosownie do prawa francuskiego, dziecko ich, synek, zapisany został do ksiąg metrycznych konsulatu w Kairze, pod nazwiskiem: „Henryka Hussona, syna naturalnego Henryka i Zagfrany“ i przez ciąg lat kilku młody professor obchodził się ze swą niewolnicą zupełnie jakby z prawną małżonką i wolną kobietą.

Ala, ponieważ, na tym tu biednym świecie wszystko ma swój koniec, nadszedł dzień, chwila, kiedy ta miłość znad Nilowych wybrzeży, okazała się śmieszną i wstrętną Hussonowi. Przyczyną tego było inne, nowe uczucie, powstałe nagle w sercu profesora, który zapłonął miłością wielką dla młodej rodaczki swej, panny Schneckenbürger. I oto, wchodzimy w element tragiczny, a za-

raz już same nawet imiona twardnieją i stają jakby uporem. Ta panna Schneckenbürzanka była to córka bogatego kupca z Lotaryngii, osiadłego w Kairze. Rodzina młodej rodaczki Hussona nie była wcale przeciwną związkowi. Stosunek z niewolnicą nubijską uważano za rzecz płochą i bez żadnej konsekwencji, i Husson, aby urzeczywistnić nowe swe żądanie, nie zawahał się na zerwanie najtkliwszych węzłów przeszłości... Odprzedał więc jako niewolnicę tę, która od tylu już lat żyła z nim jako mu równa istota, prawie jako prawna żona, i odebrał jej syna, który miał być wychowany zdala od matki, w Kairze, z rozłączeniem wiecznym...

Akt urzędowy opiewa, że w tej stanowczej, strasliwej chwili, Zagfrana nie podniosła buntu, nie stawiała dzikiego oporu. Musiała płakać zapewne, jak płaczą matki po stracie jedyne dziecko; ale żadnym czynem, żadnym słowem, nie zakłóciła pokoju swojego kochanka i pana.

W kilka miesięcy po tej likwidacji domowej Husson był już ożeniony z córką Schneckenbürgera.

Trzy lata ubiegły. Cóż się tam dzieje w tem nowem małżeństwie? Al! związek ten byłby najszczęśliwszym, gdyby... gdyby nie ręka Opatrzności, która Hussona jawnie dotknęła: z nową małżonką professor nie miał dzieci. Wówczas-to pani Husson, która się prawdziwie i serdecznie przywiązała do małego synka niewolnicy, sprzykrzywszy sobie pobyt w Egipcie, uprosiła męża aby wrócili do Francji, zabierając z sobą małego Henryka, jako własne swe dziecko.

Po powrocie do Francji i osiedleniu się w Nancy, w ojczystem mieście p. Hussonowej, nowoprzybyli małżonkowie pośpieszyli uregulować prawnie małżeństwo, którego akt pierwszy był dopełniony przed konsulem francuskim w Kairze.

Nowy kontrakt ślubny wpisany więc został w księgi metryczne (*Registre de l'Etat Civil*) miasta Nancy, i w tym kontrakcie małżonkowie Hussonowie przyznali małego Henryka, syna niewolnicy nubijskiej, za własnego i prawnego swego syna. Nikt się nawet nie spytał: jak ten Murzynek mógł być synem dwojga białych ludzi!

Skracam opowiadanie i opuszczam nieznaczące szczegóły z życia rodziny. Dwadzieścia lat minęło. Młody Henryczek jest już dorosłym chłopcem, a we krwi jego płynie ten prąd ognisty, który matka zpod wyżyn równika wyniosła. Była więc potrzeba pomyśleć o wczesnem ustaleniu tego życia, co się mogło rozprysnąć na rozstajnych drogach młodości. Ożeniono go więc z piękną, młodą, bogatą panną Estellą Clément.

A cóż się stało z bohaterką, z prawdziwą bohaterką tego dramatu, z Zagfraną? Biedna Zagfrana, biedna niewolnica, przechodziła z rąk do rąk; zmieniła wielu panów, ale nie zmieniła serca matki, w którym żał za synem, za dzieckiem, leżał kamiieniem. Nakoniec, po piętnastu latach, pierwszy promień nadziei zabłysnął i dla niej. Ostatni właściciel, dobry i poczciwy Turezyn, wzruszony opowiadaniem jej ciężkiej niedoli, obdarował ją wolnością.

Wolna! wolna! Udaje się do Kairu, gdzie ją serce matczyne ciągnie; pyta, wywiaduje się w konsulacie francuskim. Tam jej opowiadają wszystko: porwanie dziecka, odjazd dawnego kochanka do Francji z inną kobietą, z prawną żoną, wszystko, cośmy opowiedzieli wyżej. Leci tam, za morze, do Francji. Ale gdzie skrzydła? gdzie są pieniądze? Zagfrana to uczucie macierzyńskie wciębione. Nubijka nie traci odwagi. Przez trzy lata, na ulicach Kairu, walczy z biedą i cierpieniem; wszelkimi sposobami szuka, zarabia i gromadzi pieniądze... znajduje pomoc u tych, którzy ją znali niegdyś jako żonę Francuza; sprzedaje starzyzną, płótna, owoce, grosz do grosza zbija, byleby tylko lecieć tam, za morze, do syna!

Nakoniec, w 1865 r. znajdujemy ją w Nancy! W Nancy? a więc, to zbawienie — to raj! Niestety! śmierć wszystko zabrała. Opatrzność, zabierając kochankę i syna, wymierzyła sprawiedliwość, ale też serce matki rozbiła. Dziwnem zrzędzeniem losu, w przeciągu kilku miesięcy, ojciec i syn Hussonowie, zmarli obydwoj — a wobec matki, domagającej się sprawiedliwości i przyznania u Trybunału, znalazła się tylko dawna rywalka, dziś

wdowa — przywalona stratą męża i tego, który nie był jej synem. Dotknięta zgryzotą sumienia, pewnego razu wyznała: — „Tak, ona jest matką, — skłamałam, podając za swego syna jej dziecko!“

Poprawienie metryk urzędowych po śmierci oddało sprawiedliwość należną, choć późną, tej biednej matce, która wróciła do Egiptu i zapewne dziś już, połączyła się z cieniami drogich, zmarłych osób. I koniec!... Nie — bo jak mówił stary Jan z Czarnolesia:

„Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie!“

dramat nasz, ma swój epilog i kończy się prawdziwie Shakespearowską ironią:

Owa to piękna Estella Clément, wdowa po Henryku Hussonie synu, pozwala do sądu o zapłatę nie jej strat i kosztów — tę, która się mianowała niegdyś prawną matką Henryka, jej męża. Pani Hussonowa, z domu Schneckenbürzanka, umarła również, ale zostawiła licznych krewnych. Ichto pozywa dziś wdowa po Henryku.

Tu, w tłumaczeniu wiernem i dosłownem, należy przepisać wyrazy pozwu; bez tego dramat byłby koszlawy.

„Poślubiając tego, który uchodził wówczas za prawe dziecko pana i pani Husson, myślałam — prawi Estella — iż zawieram związek bardzo świętny, *równie donośny*, i co do teraźniejszości i co do przyszłej sperandy; kiedy dziś, syn niewolnicy nubijskiej leży w grobie, ogołocony za swej własności, prawego dziecka, i przynięciowy po śmierci pogardą, którą obyczaje dzisiejsze przywiązują do położenia dziecka nieprawego!“

„Dlatego-to, w imieniu młodego syna, pochodzącego, z tego nieszczęsnego związku, tak przedko zerwanego, wdowa tego syna pustyni, pozynam rodzinę fałszywej jego matki, do wynagrodzenia ciężkiej krzywdy, jaką mi wyrządziła pani Hussonowa, przedstawiając mi i żeniąc ze mną, syna niewolnicy, jakby własnego, prawego swojego syna!“

Czyż to nie całe, nie zupełne? I czy w tym dramacie braknie choćby jednej sceny?...

Niewychodząc z dramatu, możemy tu zapisać na rachunek Marcowy dwie wielkie katastrofy: spalenie się teatru w Nicei, i wielkiego magazynu „du Printemps“ w Paryżu.

Gwałtowny wybuch ognia w jednym i drugim wypadku przeraża myśl; serce drętwieje wobec tej strasliwej plagi. W Paryżu, chociaż wypadek był straszny i straty ogromne — mówią o kilku milionach — przecież ofiar życia ludzkiego było bardzo mało. Jeden tylko żołnierz ze straży ogniowej umarł w skutek otrzymanych ran, wśród tej strasliwej nawałnicy ognia. Jednakże, kiedy się myśli, że jakie półtora tysiąca osób posługi magazynowej, obojga płci, było zamknięte w tym falansterze nowożytnego handlarstwa i to, w pokojach najwyższego piętra, powiedzieć należy, że tylko cudem i miłosierdziem Boskiem wyratowani zostali od niechybnej śmierci. Magazyn ze swymi towarami był zaasekurowany w rozmaitych towarzystwach i straty dla jego właściciela są prawie żadne; bo, pomijając chwilową przerwę w sprzedaży, wszystko pokryte zostanie funduszami assekuracji.

Inaczej się stało w Nicei: w murach płonącego teatru przeszło sto osób znalazło śmierć najokropniejszą. I tu jeszcze Opatrzność czuwała nad ludźmi. Wybuch gazu, który był przyczyną ognia, nastąpił wkrótce po otwarciu teatru i publiczność w małej liczbie znajdowała się we wnętrzu; ale, gdyby ten wybuch opóźnił się był o jedną tylko godzinę czasu, niepodobna wyobrazić sobie nawet, jak okropne i strasliwe mogły być następstwa.

Okropna ta katastrofa rzuciła niezmierny płoch w Paryżu, i nie potrzeba dziwić się wcale, że czas jakiś wielu wyrzekło się przyjemności chodzenia do teatrów. Ale to trwało krótko, jak wszystko w Paryżu, i dziś nikt już ani pomyśli o katastrofie w Nicei. A przecież niebezpieczeństwo w tym względzie, jeśli jest gdziekolwiek — to w Paryżu przechodzi wszystko, cokolwiek myśl objąć zdoła w tej mierze. Teatra paryżkie, w których każdy cal przestrzeni i miejsca jest wyzyskany na powiększenie dochodów, żadnych przed-

siębieców (des Entrepreneurs). W Paryżu, gdzie za najdroższą nawet cenę, człowiek siedzi jak kura w kocu, gdzie się przecisnąć niepodobna do krzesła, a w łóżu obrócić się nie można; gdzie w teatrze przepełnionym widzami, oddychać nie podobna, gdzie kurrytarze i drzwi są tak wąskie, iż dwie osoby idące obok, nie mogą się wyminąć: w teatrach paryżkich, powiadam, wypadek podobny, byłby najstraszliwszą tragedją, jaką umysł ludzki wymyślić jest zdolny; bo trzeba dodać tu jeszcze, że nie dzikszego, nie szaleńszego być nie może, nad tę publiczność paryżką, w chwili, kiedy ją przestrasza opęta! Prosimy więc Boga, aby tę plagę od nas odwrócił.

Dr SCHLIEMANN.

(Dokończenie).

Skoro tylko młodzieniec znalazł sobie dach nad głową i kawałek chleba dla ust głodnych, natychmiast myśl jego zwróciła się do utraconego swego raju: do nauki. Kształcenie się systematyczne, takie jak w kolegium, już było niemożliwe. Praca zarobkowa zabierała najlepsze dni godziny, a przytem on, będący teraz w tym wieku, który zwykle zamyka nauki szkolne, nie umiał tyle nawet, co chłopcy o połowę lat od niego młodszy. Zapomniawszy prawie pisać i zaczął od lekcji kaligrafii, potem gorliwie uczył się angielskiego i francuskiego języka, geografii, wyższych niż posiadane rachunków, wreszcie historii, będącej zawsze najmilszym dla niego przedmiotem wiedzy. Ta praca przygotowawcza zabrała mu trzy lata pracowicie spędzone, ale to była podstawa, na której oprzeć się potrzebował i, skoro tylko ją pozyskał, począł szukać sobie stosunków, które wytworzyłyby mu przyszłość w kierunku handlowym. Był to na wielką skalę prowadzony przemysł handlu indygo z północną Europą, z Rosją szczególnie, i młodzieniec nauczył się teraz po rosyjsku, został po upływie pewnego czasu współnikiem domu, w którym pracował, potem handlującym na własną rękę i 1852 roku, to jest w trzydziestym roku życia, znalazł się już bogatym człowiekiem i ztąd o tyle wolnym co do czasu, aby rozpocząć nową seryą prac koło wykształcenia swego: naukę łaciny, greckiego, a potem wkrótce arabskiego języka. We wspomnianej wyżej książce *Ilios* Schliemann poświęca długie ustępy przyjętej przez niego metodzie samouczenia się starożytnych i nowożytnych języków, metodzie, którą nazywa uproszczoną, a która jest rzeczywiście opartą na pamięciowym wycuczeniu się języka bez studiów gramatycznych. Umysł jego, bystry i pamięciowo chwytny, połączony z silną wolą, dał sobie radę ze spotykanymi trudnościami i zwyciężył je: niemniej pedagog zrobić tu musi uwagę, że metoda powolniejszej i więcej na studiach filologicznych opartej nauki, ma swoje inne, formalne znaczenie dla umysłu, zaprawia go do uwagi i obserwacji, rozwija zmysł krytyczny i porównawczy.

Pan już znacznego mienia, podróżował Schliemann po Grecji, a potem Azji, zwiedził Syryę, dalej wybrzeża Afrykańskie, Egipt, wreszcie puścił się do Ameryki, osiedlił się w Stanach Zjednoczonych i nawet stał się obywatelem tamtejszym. W 1863 roku, więc mając mało co więcej nad lat czterdzieści, zupełnie wycofał się z interesów; jacyemi zaś były te interesa, dość powiedzieć, że obecnie ma on przeszło 250 tysięcy franków rocznego dochodu i pomimo ogromnych wydatków, jakich wymagały czynione przez niego rozkopywania, mógł corocznie odkładać na bok sto tysięcy franków, mnożąc w ten kolosalny sposób majątek swoich dwojga dzieci z pierwszego małżeństwa.

Francuzki poeta (Alfred de Vigny) powiedział: „Une belle vie, c'est le rêve de la jeunesse réalisée dans l'âge mûr”. — Otóż Schliemann zapragnął uczynić istnienie swoje pięknem w ten spo-

sób i nie zakochany w złocie, w pieniądzu, których już zebrał tyle, że ich było mu dość, powrócił myślą do dawnych marzeń, do murów Trojańskich, zanim przecież miał się oddać pracy nowej, wybrał się w długą podróż, puścił się w nią przez Tunis, Egipt, zwiedził Indye, Chiny, Japonię i powrócił przez Amerykę, którą teraz przebywał jako podróżnik. W 1866 osiedlił się w Paryżu i zaczął studiować archeologię. Wyjawszy krótkich wycieczek do Ameryki, zatopił się całkowicie w namietnym badaniu starożytności, studiował szczególnie Homera i rozpoczął dzieło poszukiwań od Itaki i to z takim zapalem młodzieńczym, z takim uniesieniem poetycznym i naiwnem, jakgdyby lata strawione w sposób inny, nie istniały w rzeczywistości dla niego i on, przez cały ten czas zaczerpnięty duchem w postać jakąś inną, teraz dopiero odnalazł się samym sobą: tem chłopcem, które oderwane od Historii Powszechnej Ferrera, biegło marzyć nad wody Meklenburskie o wymordowanych i zaginionych ludach. Gra wyobraźni przedstawiała mu w naturze to wszystko, co poeta opisywał w *Odysei*; odnalazł bardzo prędko miejsce pałacu Ulissesa, jego grób, a więcej nawet: weselne jego łożo, które król Itaki sam sobie zrobił, dając mu za podporę pień dzikiej oliwy. Potem przyszedł ogród Laerta, stajnie Eumedę, wszystko jak w Homerze, a szczególnie tych skarbow odkrywca napisał i wydał w 1868 r. książkę o tem: *Ithaque, le Peloponnese et Troie*, nie sobie nie robiąc z krytyki i rad ludzi uczonych, aby działał wolniej, ze spokojniejszą wyobraźnią a głębszą rozważą. Przecież w miarę postępu prac swoich Schliemann poznał, że miano słuszność. W 1878 odbył w Itace drugą kampanię poszukiwań i chłodniej już zapatrując się na dokonane wykopaliska, przedstawił ich rezultat w przedmowie do drugiego swego dzieła: *Ilios*, o wiele skromniej. Krytyka odpowiedziała mu też z wesołą żartobliwością, że książka o Itace jest błędem młodości.

Był też wtedy nowożeńcem; piękna Greczynka wracała mu czary lat młodzieńczych, zatem rzeczywiście odtwarzała się dlań druga wiosna życia. Wtrącamy tu uwagę, że *Itaka* była pisaną po francuzku, tak jak *Ilios* został w roku zeszłym napisany po angielsku. Przecież Schliemann nie zapomniawszy wyrażać myśli swoich w ojczystym języku, gdyż współcześnie z ukazaniem się angielskiej książki w Londynie, przesłał do niemieckiego miesięcznika: *Unsere Zeit*, obszernie jej streszczenie.

Pierwsza książka przesłana grzecznie uniwersytetowi w Rostoku, przyniosła mu, nadany z równą grzecznością, tytuł: *Doctor philosophiae*, zdołbiący od tej chwili jego nazwisko. Był on niewątpliwie *doctor poëseos* i z niezmordowaną czynnością wydobywał na światło dzienne scenę życia z czasów homerycznych: od 1871 do 1873 r. prowadził odkopywanie Troi i choć je porzucił, aby przenieść prace swe do Mycen, to nie zawsze i nie na długo nawet, lecz gorący umysł porywał go wciąż przed siebie i nie dawał pracować ze spokojem i cierpliwością prawdziwego archeologa. Roboty prowadził tu wspaniale, pokrólewsku: dwustu ludzi wzruszało naraz groby przeszłości, piękna Greczynka przewodniczyła im, a on sam z Pauzaniaszem w ręku dawał im kierunek. W Mycenach, odkopano wśród starożytnej akropolii na ośm metrów głębokości pięć grobów, a w jednym z nich znaleziono ogromne, niezupełnie jeszcze zweglone zwłoki, z wszystkimi zębami w szczęce, a w których Schliemann chciał widzieć śmiertelne szczątki Agamemnona. Potem już nie on, ale Ateńskie stowarzyszenie archeologów odkopało mogiłę szóstą, lecz rzeczą najbardziej zadziwiającą wśród tych odkryć jest niezmierna ilość znalezionej złota, a zarazem srebra. Gdyby zebrane w tych grobach przedmioty sprzedano tylko na wagę kruszcza, jużby przedstawiały wartość 125000 franków. Szczególniej złoto okazało się użyte najrozmaiciej: tworzyło maski na obliczu pogrzebanych, napiersniki, blaszki, które wraz z guzikami naszyte na szatach tkanych z wełny, lub skórzanych, przedstawiały coś podobnego do haftu. Były jednak i właściwe już klejnoty, oraz naczynia drogocenne: diademy naszyjniki, zausznice i bransolety, spinki do szat

i włosów, obok waz, dzbanów, czar i kubków, miednic z nalewkami, wśród których były i wyroby z brązu, z elektum. Schliemann znowu napisał o tych odkryciach swoich książkę, najlepszą, najciekawszą ze wszystkich literackich prac, jakich dokonał: *Mycènes, récits des recherches et découvertes faites à Mycènes et Tiranthe*. Widział on w znalezionych bogactwach Pauzaniaszowy: *Skarbiec Atrydów*, że przecież uczeni nie mogli tu odkryć nic z greckiego, choćby archaicznego stylu, zaprzeczono mu ogólnie. Pewne pokrewieństwo smaku z gotykami i ozdobami pochodzącymi z czasu Merowingów, oraz podobieństwo do przedmiotów znalezionych w grobowcach przedhistorycznego cmentarza w Haltstadt pod Wiedniem, wprowadzały na domysł, że groby w akropoli Mycenskiej należą do plemienia północnego, które przypadek awanturniczych najazdów zagnał aż tam. Jakkolwiek przekonanie Schliemanna nie mogło się utrzymać w obec krytyki, upadło też i to przypuszczenie drugie. Następne odkopaliska samego Schliemanna w Troadzie, groby odkryte w Attyce i Argolidzie, a głównie odkrycie na wyspie Santorin wsi starożytnych, pochowanych pod kamienną powłoką lawy, a związane wyrazami cechami wspólności rodowej z odkryciami w akropoli Mycenskiej: wszystko razem naprowadziło na ślad pewny, że są to szczątki najdawniejszej cywilizacji krain greckich, cywilizacji rodzimej tego gruntu, bo poprzedzającej epokę stosunków jej z Egiptem, z cywilizacją i sztuką Chaldejską. Ludy będące przodkami Greków tworzyły to samodzielnie, co Schliemann, a za nim inni, wydostali na światło dzienne.

Odkopaliska w Troadzie zdają się być tem samem tylko. Cała ta kraina uległa takiemu przetworzeniu, że nikt nie może być pewnym, czy miejsce, które Schliemann ma za mogiłę Troi, jest nim rzeczywiście: gruntem, który deptał Hektor i Achilles, na którym wieszczyla Cassandra, a tyśiące nieszczęśliwych wydało się na ofiarę krwawą za napađniętą ojczyznę swoją. Poeta Lukan już nie mógł znaleźć sceny tej tragedji okrutnej: rzeki zmieniły bieg, zatoki zostały zasypane i cała postać lądu Trojańskiego uległa zmianie, jakgdy rzeczywiście gniew Bogów zaciążył nad krainą nieszczęsną. Schliemann, kopiąc teraz uważniej, odkrył siedm miast, wznoszących się jedno na drugim; trzecie, licząc od dołu, uważa za Troję. Leży ono na 33 metry pod poziomem dzisiejszym i nosi widoczne ślady ogromnego pożaru, pożaru który je zniszczył, a rozkopywanie było prowadzone tak, że domy i mury otaczające miasto zaznaczyć można. I tu znaleziono ogromne skarby, które w bieżącym miesiącu właśnie zostaną rozstawione w Muzeum Berlińskim.

Dokonanie tego przedsięwzięcia kosztowało Schliemanna sto tysięcy franków. Uczeni dowodzą, że miasto, które uważa za Troję, jest z epoki kamiennej, nieco późniejszej od mogił znalezionych przez niego w Mycenach. Ale ani tu, ani tam, nie są to czasy walki Greków z Troją, bo ślad żaden nie wykazuje tych nieustannych stosunków Grecji z Fenycją, jakie istniały już w czasach epoki homerycznej.

Dwa miasta, leżące poniżej są zbudowane z drobnych kamieni, najczęściej płaskich, spajanych ze sobą gliną. Wyroby garncarskie są ręczne, żelaza nie widać zgoła, przedmioty znalezione są z krzemienia, miedzi, ołowiu lub złota, srebra, z różnorodnych kamieni i mosiądzu. Charakter tych wykopalisk różni się znacznie od miasta, uważanego przez Schliemanna za Troję.

To czwarte, które się wznosi po nad grodem niby Pryama, okazuje bardzo niski stopień cywilizacji i narzędzia są przeważnie z kamienia, nie ma już złota, ani srebra, brąz przedstawia się jedynie przez kilka siekier i noży kształtów pierwotnych. Za to w mieście piątego piętra niema wcale broni i narzędzi kamiennych. Schliemann widzi w niem osadę Lydyjską z której wyszli Etruskowie: Trojano - Lydyjsko - Etruskie miasto, i opierając się na tem twierdzeniu, tłómaczy pewne malowidła na naczyniach etruskich, które były dotąd przedmiotem sporów archeologicznych.

Wszystkie te szczątki przeszłości będzie można wkrótce oglądać i studiować w nich dowody, jak starożytnym rodem na ziemi jest człowiek; ile,

ile nieprzeliczonych wieków plemię to pracuje, buduje, poszukuje i zarazem cierpi, walczy, wznosi groby na grobach; lecz ze wszystkich tych zbiorów wychyla się raz nie zatracane pragnienie i poszukiwanie piękna, widnieją idealu jakiegoś zaziemskiego przez które mogły, prochów człowieka objawia się myśl o niekończącym się ze śmiercią istnieniu.

M. I.

DROBNE LISTKI.

Umowa Milтона z wydawcą Raju utraconego przechowuje się dotychczas w Muzeum londyńskim. Autor dostał za dzieło swoje 125 franków gotówką, przytem zastrzegł sobie prawo takiej samej zapłaty za każdą z czterech edycji, jakie się w następstwie czasu ukazały, zawsze przecież po rozprzedaży całego nakładu. Milton nic z tego nie dożył i całym pieniężnym zyskiem jego za *Raj utracony* było 125 franków.

Poeta angielski Ryszard Henigst Horne, napisał tragedję z wewnętrznych dziejów Neapolu, pod panowaniem ostatnich Burbonów. Tragedja ta pod tytułem: *Laura Dibalzo* ofiarowana jest: Waszyngtonowi, Kościuszce, Kossutowi i Garybaldemu. Kończy ją grom piorunu, który jest odezwaniem się głosu Bożego, wołającego po nad ludzkością: — Jestem....

Paryżki przegląd geograficzny, uznał ostatecznie przez studia członka Instytutu francuzkiego, Gaffarel'a, że rękopis włoski braci Zeni, opisujący odkrycie Ameryki w XIV w., nie jest podrobionym, ani też nie ulega wątpliwości, że podróżnicy z owego czasu znaleźli już w Ameryce ślad poprzedniego pobytu tam Europejczyków. Były to między innymi książki łacińskie, należące niegdyś do misjonarzy, których jednak nie rozumiał już nikt z miejscowych.

Mapa Anglii, przygotowująca się obecnie w głównym sztabie artylleryi angielskiej, już jest wypracowywaną od lat 30-stu, a termin ostatecznego jej wykończenia, wypada na ostatni rok naszego stulecia. Mapa ta będzie kosztować Anglii sto czterdzieści milionów franków, co wypada w rozłożeniu po 3 miliony rocznie, a 7,500 franków dziennie. Dokładna znajomość ojczyznej ziemi nie tanio przyjdzie Anglikom, uważają oni przecież, że niewiadomość pod tym względem drożej jeszcze opłacić trzeba.

Wyprawa do bieguna północnego, na nowych zupełnie warunkach, przygotowuje się w Anglii pod kierunkiem kapitana marynarki rządowej, Cheine. Kapitan Cheine zamierza dostać się do bieguna balonem; ponieważ wyprawa jest wspieraną przez kilku wielkich magnatów angielskich, zażądano od kapitana, aby wykonał próbę, dowodzącą możliwości jego planu, lecz ten odmówił, dając za powód, że podróż balonu w krajach niezamieszkałych pustyni lodowych przedstawia warunki inne, niżeli w gęsto osiadłym kraju. Przebywając przestrzory mroźnych przestrzeni podbiegunowych, balony mogą trzymać się wciąż w stałej odległości od ziemi, nie wychodząc po za dogodny prąd powietrza, przez co nie traci się nic gazu.

Wojna przyszłości między Francją a Niemcami, zarysowała się tak żywo w wyobraźni jakiegoś wojskowego Niemca, że skreślił i drukiem ogłosił następujący jej obraz: — „Jakkolwiek Francja pod pozorem wielkich manewrów powołała przed wypowiedzeniem wojny rezerwy trzech wielkich korpusów wojska, jakkolwiek pod tym pozorem potrafiła zgromadzić kontyngens armii terytorjalnej,

Niemcy zdołały niemniej uruchomić obronę, zanim noga francuzkiego żołnierza stanęła na ziemi niemieckiej. Pułki konnicy, rozstawione nad granicą, dostały rozkaz natychmiastowego wyruszenia naprzód, ale spotkali konnicę francuzką w tak znacznej liczbie, że nie mogły zdziałać nic stanowczego, przekonały się tylko, że o kilka dni marszu poza granice kraju nie ma żadnych poważnych sił piechoty. Przez ten czas Niemcy skoncentrowały swe wojska. Jedną, najmocniejszą armią zajęła mimo protestacyi Belgijskiego rządu stanowisko pod Namur; drugą, prawie równej siły, pod Metz, trzecią pod Strasburgiem, już słabszą i mającą tylko na celu osłonę górnej Alzacy przed wkroczeniem Francuzów. Dwie wielkie armie pociągnęły wprost na Paryż!

Francuzi, wiedzący naturalnie co robi nieprzyjacieli, przeciwstawili mu taktykę taką: Armia pierwsza, północna, odebrała rozkaz z głównego sztabu, że jej przeznaczeniem będzie działać na lewym boku najznaczniejszej, głównej armii francuzkiej, rozstawionej na zachód od Verdun. W skutek tego armia północna wyruszyła kilkoma równoległymi drogami w kierunku linii Reims-Saint Quentin, a ponieważ poprzednio kawaleria francuzka zapędziła w tył niemiecki korpus nadgraniczny, ruch wojska odbywał się spokojnie. Mijało bez zatrzymywania się twierdze, które obsadzały wojska, ciągnące na tyłach. Ale począwszy od drugiego dnia pochodu, konnica oznajmia ze wszelkich stron o zbliżaniu się armii niemieckiej, złożonej z kilku korpusów i posiadającej front rozległy. Kawaleria się usuwa i nad wieczorem obie armie piechoty stają na przeciw siebie. Zamieniono kilka strzałów karabinowych, lecz zmrok zapada i kładzie kres utarczkom; przednie stráže pozostają naprzeciw siebie. Gdyby nie ciemność nocy, widziano by z obu stron postacie, pracujących pilnie, jak tłumy żeńców w polu: wozy zwożące pracującym narzędzia, wielkie rydle, siekiery, łopaty, przed czołem armii występują przykopy ochronne, oile miejscowość pozwala wznosić się ich dwie linie spiętrzone.

Ale Niemcy, pracowali tak jedynie dla ochronienia się podczas nocy; wódz ich, wierny tradycjom, postanowił uderzyć zaraz nazajutrz. Od szarego świtu, na całej linii niemieckiej, mocno ściśnione oddziały wojska, posuwają się naprzód, aby być w pogotowiu do bitwy. Najdalszy korpus lewej strony dostał rozkaz posuwania się w kierunku prawego boku Francuzów; miejscowość została mu wskazana według raportów, złożonych wczoraj przez kawalerię, i zanim słońce weszło, już pochód naprzód odbywał się w cichości. Wódz niemiecki działał tak, aby zabezpieczyć sobie lewe skrzydło, zagrożone przez warunki miejscowości i przybliżyć się do armii Metz. Dywizja kawalerii zasłania mu skrzydło prawe.

O nieprzyjacieli wiedzano, że zajmuje te same stanowiska, co wczoraj, i że pracowano noc całą w jego obozie.

Przez cały dzień następny trwał obustronnie ogień artylleryi, lecz z zapadnięciem nocy ustał; bataliony piechoty zajęły stanowisko przed bateriami, najgłębszy spokój zapanował ze stron obu. U Francuzów najdalsze rezerwy rozpały ogniska obozowe, reszta pokładła się tak jak i u Niemców, w szyku bojowym, tylko u Francuzów robiono jeszcze w pewnych punktach nowe roboty ziemne. Zdawało się, że są to czasy wojen starożytnych, dwa wojska nieprzyjacielskie spały w obozach okopanych i Francuzi byli o sto mil od przypuszczenia, co im ta noc gotuje. Jednak, obawiając się jakiegoś zaskoczenia pojedynczego, małej zresztą ważności, wysunęli naprzód silne placówki.

Nagle zabrzmiało na różnych punktach straszne

hura! Prusaków. Już muszą być na linii, za chwilę będą na tyłach i wtedy to krzyk ogromny rozległ się na całej linii francuzkiego obozu. Przy blasku ostatnich strzałów salwowych, Francuzi widzą bagnety niemieckie w odległości pięćdziesięciu kroków. Wszelki opór jest też skończony i daremnie oficerowie grożą szpadą i rewolwerem, tłum się cofa wskrós baterii, które napróżno usiłują zaprzężyć i ujeżdżać. Dowódcy rezerw usiłują z bohaterką energią zmienić położenie rzeczy, bo w tej samej chwili właśnie salwowe strzały Niemców uderzają w ściśnione oddziały, a moralny i fizyczny skutek tego nie da się opisać. Już najodważniejsi dowódcy zaprzestają kusić się o obronę, szczególnie gdy krzyk z prawego boku daje znać, że Niemcy dostali się i tam. Starają się cofać w najlepszym, o ile można, porządku, ale z obawy stracenia kierunku na Paryż, muszą zwracać się na północ, ponieważ prawy bok armii jest oskrzydłony. Piechota niemiecka postępuje za niemi na kilkaset metrów odległości, trapiąc nieprzyjaciela strzałami. O godzinie 11 minut 20 wszystko zostało skończone. Przez te dwadzieścia minut naczelną wódz niemiecki przebył wzruszenia gorąckowe, oczekując na ostatni wynik rzeczy. Ale teraz już wszelka wątpliwość ustała: powodzenie uwieńczyło jego krok śmiały i kawaleria dostała rozkaz, aby mimo ciemności nocnych, rzuciła się całą siłą na zachód.

Dopiero poranek wykazał całe znaczenie zwycięstwa. Większa część artylleryi francuzkiej była w ręku zwycięzców, co godzina oddziały kawalerii przyprowadzały setki jeńców i jedynie mała część armii francuzkiej zdołała obejść otaczające ją lewe skrzydło niemieckie i dostać się na drogę ku Paryżowi. Większość, rozproszoną w kierunku zachodnim i zachodnio-północnym, gnała przed siebie kawaleria niemiecka.

Można było powiedzieć, że główna armia francuzka już nie istnieje. Wprawdzie Niemcy ponieśli straty ogromne i nie bez słuszności utrzymywano, że niejedna pierś niemiecka została niemiecką kulą przeszyta. Ale niemiejszemi byłoby straty bitwy dziennej z nieprzyjacielem silnym i przygotowanym.

Zostawiając zatem kawalerii ściganie rozbitków, armia główna niemiecka posunęła się w dalszym pochodzie na południe, ku armii Metz, znajdującej się zupełnie w takim samym położeniu jak ona sama wczoraj jeszcze. Od pięciu już dni dwie armie: francuzka i niemiecka stały naprzeciw siebie w silnie oszańcowanych obozach i przez pięć dni armaty grzmiały, szerząc z obu stron równe zniszczenie, gdy nagle wielka armia nadciągnęła i z miażdżącą przewagą sił uderzyła z lewego boku na Francuzów, rozstrzygając i tu losy walki stanowczo.

Na tem zatrzymuje się prorok niemiecki. Zostawia czytelnikowi obraz Francji podobny temu, jakiśmy już oglądali: pierwsze starcie rozbija, rozprasza główne siły wojsk francuzkich i zostawia Paryż odkryty.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się półarkusz 11-ty powieści pod tytułem: *Służąca posesora*; oraz półarkusz 18-ty powieści pod tytułem: *Wódz-Duch*.

TREŚĆ. To my! poezja, przez Maryję Konopnicką. — Sama jedna, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Krystyna, królowa szwedzka, biografia, (dalszy ciąg), przez Edwarda Lubowskiego. — Odczyty. — *Nowiny paryżkie*, (dokończenie). — Dr Schlieman zyciorys, (dokończenie). — *Drobne listki*.

Warszawa.—Druk S. Orgelbrandta Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 22 Апрель 1881 года.

SŁUŻĄCA POSESORA

POWIEŚĆ

E. MARLITT

przełożył z niemieckiego J. M.

(Dalszy ciąg).

— Nie masz mi panna nic do odpowiedzi? — zapytał Henryk z gniewem.

— Nie! Co mnie obchodzi, czy pan pogardzasz lub nie, biedną służącą swego dzierżawcy? Życie ona pragnie dla małego gronka ludzi, a opinia innych jest dla niej tylko — tortura.

Powiedziawszy to, poszła wprost do domu gajowego.

— Pokłoń się panna odemnie swym wesołym przyjaciółkom w narożnym pokoju! — zawołał za nią szyderczym głosem. Zdawało się że donośne te dźwięki rozpląnęły się w ciepłym powietrzu, zanim jeszcze dobiegły do uszu dziewczyny. Żadne bowiem poruszenie nie zdradziło, że usłyszała impertynentne słowa. Szła dalej pewnym krokiem i po chwili zniknęła za ścianą domu.

Jeszcze tego samego dnia przygotował się p. Henryk Markus do podróży... Dłużej nie mógł i nie chciał znosić niepotrzebnych przykrości. Cóż bowiem zatrzymywał go jeszcze w turyngskiej pustyni? Wszak cały świat stał przed nim otwarty, a gdy raz opuści te miejsca, gdy owieje go znów ruchliwe, wesołe życie miejskie i rozpędzi gęstą mgłę, która otoczyła go wśród tych zarosłych lasów, sam śmiać się będzie ze swych uczuć Otella, które zmuszały go do nieustannego krążenia w okół domku gajowego, na podobieństwo kuny myszkującej w okół gołębnika. O, prawdziwie piękny gołąbek! Była to raczej nędzna karczma w lesie, pełna pijaków i łobuzów!... Wprawdzie jeden gołąbek wlatywał tam i wylatywał ztamtąd bezustannie, piękny, biały, z ludzako niewinnymi oczyma, lecz gołąbek ten wcale nie troszczył się o to, czy w tej gorącej, brudnej atmosferze nie poplamili mu się śnieżne piórka, aby tylko jego częste odwiedziny pozostały tajemnicą dla świata! Oszukaństwo i zdrada znajdowały się również i w tym ustronnym kątku świata, a zresztą czyż to nienaturalna rzecz? Wszak trujące rośliny mieszały się między kwiaty i gojące zioła, a zjadliwe węże kryją się pod korą wspaniałych olbrzymich lasu!

Wygotował instrukcje dla swego buchaltera i odesłał je przy liście, w którym zawiadomił go, że w tegorocznej podróży nie poprzestanie, jak myślał poprzednio, na Norymbierdze i Monachium. Pojedzie o wiele, o wiele dalej, zwiedzi znów Rzym i Neapol i dla tego nie tak prędko jeszcze powróci do domu i fabryki. A przytem pogardliwie uśmiechając się myślał, że w pośród wzniosłych marmurowych piękności, w pośród pysznych sal i muzeum Rzymu, w roszkownej zatoce Neapolu, nawet nie wspomni o ubogiej dziewczynie w nędznym ubiorze wyrobnicy, o chłodnej, ciąsnej dolinie wśród samotnych turyngskich lasów i wstydzić się będzie swoich dzisiejszych śmieśnych zachwyków.

Ale gdy nazajutrz rano podniósł rolety i usiadł w otwartym oknie, gdy doleciało go pogardzone chłodne powietrze ojezystych borów, nie południowo miękkie, ale silne, wonne, ożywcze i tak

roszkownie podnoszące pierś oddychającego, gdy patrząc w dal ujrzał złote kłosa zboża rozblyskujące w słonecznym świetle i poważne, uroczyste lasy bukowe — wtedy on gniewny, dotkliwie rozdrażniony uczuł w sercu głęboki żal na samą myśl pożegnania tych stron, pojął wreszcie, że już przyrósł do nich duszą całą i że tylko tu prawdziwie szczęśliwym być może.

Odrzucił z żywnością torby podrózne i jak zwykle przeniósł się na cały dzień do ogrodowej altany. Jednak nie wyszedł wcale za bramę, a rozkwatrowawszy się w pawilonie, spuścił rolety od strony drogi i zamknął szklane okno, wiodące na schodki, jak by nie chciał wpuścić tu nikogo.

I w istocie okazał dziś prawdziwie mężką wytrwałość. Nie tylko bowiem nie opuścił ani na chwilę dobrowolnego więzienia, ale nadto słuchał z najzupełniejszym spokojem, gdy po południu Griebłowa opowiadała mu ze szczegółami o przymiotach nowej służki, którą właśnie zgodziła dla starych z folwarku. Dzielną robotnicą zaraz za kilka dni obejmie służbę i dla tego to ona, p. komissarzowa, osobiście udała się na folwark, aby zanieść tam pożądaną wiadomość. Nie mogła dość nachwalić się i napodziwiać cierpliwości zacnej pani posesorowej, która więcej niż rok męcząc się w łóżku, zachowała całą łagodność i prawdziwie anielską dobroć. Usługiwać podobnej kobiecie to nie trud żaden, ale rzeczywista przyjemność, na którą czekać będzie z prawdziwym utęsknieniem. Bo że ona sama będzie się musiała zajmować pielęgnowaniem chorej, o tem nie można było wątpić po wszystkim, co dziś widziała na folwarku. Starzy biedacy znajdowali się sami w całym domu, najzupełniej opuszczeni przez wszystkich. On sam, posesor, zaledwie zdolny chodzić o kiju, musiał osobiście otworzyć jej sienne drzwi, a w kuchni nie widziała ani śladu ognia, choć było to w godzinie, w której wszędzie, nawet u najuboższych ludzi gotują kawę poobiednią. Och, aż zgroza przejmując, patrzeć na tamtejsze gospodarstwo! Panna guwernantka zapewne drzemała po obiedzie, lub czytała francuzki romans, a ta druga, łatwo się domysleć gdzie się znajdowała. No, ale teraz może się już przenieść na zupełnie do swego gajowego, gdyż nowa dziewczka jest doskonałą robotnicą i ma takie ogromne ręce że każda rozumna gospodyni spojrzawszy na nie musi od razu zrozumieć co to za skarb. Ta z pewnością zaprowadzi porządek w domu i śpiewając załatwi wszystkie roboty w polu, bo też nosi proste buty, nabijane goździami, flanelową spódnice i zwyczajny gorset, jak przystało na porządną dziewczynę ze wsi. Spodziewam się też, że wkrótce wszystko wróci do należytego porządku i raz wreszcie skończy się ten oburzający skandal na Grafenholz — zakończyła Griebłowa triumfując.

Podczas całej powyższej mowy dzielna kobiecie na wpatrywała się bystro w młodego dziedzica. Od czasu bowiem gdy wczoraj zastała w jego pokoju porozrzucane po ziemi papiery, i o zgrozo! na jego biurku sławną Griebłowską kawę zimną jak lód i nawet niedotkniętą, p. Henryk Markus stał się dla niej mocno podejrzaną osobą. A i teraz miał taką minę, jak by lada chwilę miał zerwać się z krzesła i wyrzucić za drzwi rozprawiającą. Wprawdzie nie dostrzegła tego ostatniego symptomatu, z najwyższym bowiem zapałem wypowiedziała co jej leżało na sercu i oddaliła się z uwagą, że dziś jeszcze każe przygotować już we dworze izbę dla nowej dziewczki.

W parę godzin później, gdy słońce zaszło zupełnie, jakaś postać wysunęła się jakgdyby ukradkowo z altany i po chwili zaraz szła szybko pomiędzy murem ogrodowym i lanem dojrzwiałego żyta. Droga biegła po za budynkami dworu, przez pola, łączkę, wprost do bukowego lasu. Idący zacisnął kapelusz głęboko na oczy, jak gdy-

by wstydził się szumiących zcicha kłosów i ciemnych drzew, kiwających poważnie głowami z podziwu nad nową niedorzecznością ludzką. Każdy najdrobniejszy szelest, tak własnych kroków, jak przesunięcie się w odali trwożliwego zajęczka, lub przeskoczenie wiewiórki z jednej gałęzi na drugą, podwójną wyrazistością obijał się o jego uszy. Był to Henryk, rumieniący się ze wstydu na myśl, że dziedzic dóbr Hirschwinkel, bogaty właściciel wielkiej fabryki maszyn rolniczych skradał się lękliwie przez las, jak nędzny złodziej, czatujący na cudzą zwierzynę. A w stajence za domem gajowego kozy zdradziecko beczęły, w sieni pies groźnie warczał, jak by na umyślnie udrczenie tego, który krążył w okół domu i szedł po miękkiej łączce tak cicho, że nikt go nie mógł dosłyszeć.

Narożne okna były tak samo zasłonięte jak wczoraj; ale w drugie od strony północnej jasniało wśród zmroku mocnym światłem — i Henryk zobaczył to, czego się obawiał, co wywołało przekleństwo na jego usta i lęz bezsilnego gniewu na oczy... Tak... była tam... stała przy trzonie kuchennym i jaskrawe światło ognia ozłociło wyraźnie całą twarz nieszczęsnej. W pierwszej chwili uniesiony wściekłością chciał przyskoczyć bliżej i uderzwszy pięścią w okno wystraszyć ją z głębokiego zamyslenia. Ale nie miał by do tego dość czasu, gdyż w tej samej chwili dziewczyna poruszyła się nagle, zdjęła szybko z trzonu buchający parą garnuszek i wraz z nim zniknęła w drzwiach, prowadzących do sąsiedniego pokoju.

Henryk zatrzymał się jeszcze przez chwilę, poczem nagle wyprostował się jak gdyby z gniewem i szybkimi, głośnemi krokami przeszedł pod oknami domu, a pies zamknięty w sieni zaczął szczekać z zajądłością. Jedno z okien otworzyło się z brzękiem, może nawet wyrzucił kto przez nie, ale on przecież szedł sobie publiczną drogą, jak każdy inny, wcale więc nie troszcząc się o leżący na boku ustronny dom gajowego...

Nie, tak być dłużej nie mogło, nie powinien i na dal być nędzną igraszką nieszczęsnej namiętności! Hańba, wieczna hańba dla mężczyzny, który tak bezsilnie daje się powodować uczuciu i nie ma odwagi zerwać kłępujących go więzów! Wszystkie, wszystkie dotychczasowe głupstwa musiały zostać przerwane raz na zawsze, jak gdyby trzęsienie ziemi pożarło ustronny domek na Grafenholz wraz z jego przekletemi mieszkańcami!

Na dość jeszcze jasnych niebiosach ukazały się małe gwiazdki; widać ich było tylko kilka na wąskim pasku błękitu, widzialnego wśród dwóch ścian olbrzymich drzew. Błyszczały światłem łagodnym, spoglądając z wysoka na szybko idącego mężczyznę, tak jak przed laty świeciły nad jego dzieciinną główką. Jak poeci mogą porównywać te nigdy niezmienione, wierne, pociechę niosące światelka do kłamliwych kobiecych oczu? Pogardliwy, pełen gorczy i szyderstwa uśmiech zakłócił na chwilę poważną ciszę lasu. Czyż było na świecie coś więcej zdradzieckiego nad anielsko piękne źrenice, których blask uderza z pod rzęs ciemnych?

W taki sposób nadszedł ostatni dzień tego burzliwego tygodnia — Sobota, a z nią przybył narazie budowniczy wraz z ukończonym planem nowego domu na folwarku. Miał on jeszcze coś do czynienia w tartaku, dokąd zaprowadził go dziedzic i pozostał w Hirschwinkel aż do południa. Ale skoro tylko powóz, odwozący go z powrotem do miasta, wytoczył się za podwórze, Henryk zbiegł natychmiast ze schodów, aby zanieść plan budowy na folwark. Mógł śmiało to uczynić, przez noc bowiem uspokoił się a zupełnie, już stał się tak chłodnym i obojętnym, jakgdyby serce jego nigdy nie uderzało przyspieszonym tętnem. Uczucie pogardy przyczytno się głównie do odniesienia zwycięstwa nad nieszczęsną namiętnością.

ścią. A lubo zdawało mu się, że słońce teraz nie świeciło już tak jasno, a ziemia stała się dziwnie smutną i głuchą, to przecież umiał się oswoić z tym cieniem i ciszą. Lepiej spoglądać w ponury grób, niż dać się czarować zgubnemu urokowi i stać się pośmiewiskiem dla siebie samego!

W ogródku folwarcznym skoszono świeżo trawę — pozostał tylko jeszcze mały wąski kawałek, nad brzegiem którego połyskiwał jakiś biały przedmiot. Henryk schyliwszy się, podniósł delikatną, białą jak śnieg chusteczkę, z której rozchodziła się miła woń fiołków. Zapewnie przechadzała się tu panna guwernantka, a bardzo być może że i teraz jeszcze zobaczy ją w altance z wykwiutną robótką, lub książką w ręku. Ale było to dla niego całkiem obojętną rzeczą, nie życzył sobie spotkania i miał zamiar tylko ukłonić się w przechodzie — ale i do tego nie przyszło.

Kosiarka stała przy stole pod sklepieniem z zielonych liści. Rozgrzana upałem i znużona ciężką pracą schroniła się zapewne na chwilę pod orzeźwiający cień altany. Przed nią na kamiennej płycie leżał sierp i duży pęk trawy, z którego dziewczyna wybierała kwiaty.

Nie witając jej wcale p. dziedzic położył na stole znaną chustkę i ukradkowym wzrokiem spojrzawszy na małe, piękne, lecz mocno opalone ręce. Pomyślał zapewne o nowej słudze, która wychwalanymi przez Griebłowę rękami nie umiała by wiązać bukiecików.

I poszedł dalej, jak gdyby w altanie nie znajdowała się żadna żywa dusza. Gajowy nazwał niegdyś jego układ wojskowo szorskim i w istocie w tej chwili był on szorstkim i dumnie pańskim — dziedzicem, dla którego służba w odwiedzanym przezeń domu wcale nie istnieje... Ale idąc przez podwórze zdawał się już zupełnie innym człowiekiem. Biedna chora nie powinna była doznać najmniejszej przykrości z tego powodu, że folwark stał mu się teraz nienawistnym do najwyższego stopnia.

Rozłożył plan budowy na jej kółdrze i rokoszował się radosnym zakłopotaniem, z jakim nieboga podziwiała rysunek ślicznego dworku. I w istocie były tam wysokie piękne okna i jeszcze piękniejsze szklane drzwi, wychodzące na wdzięczną werandę. Dzikie wino miało opłacać ją do kół, a zamiast pustego podwórza, przed frontem dworu ukazywał się zarys pięknego trawnika, otoczonego kłombami kwiatów. Młodzieniec opisywał płacząc i śmiejąc się zarazem kobiecie całe wewnętrzne urządzenia, dogodność rozkładu domu i na pozór przynajmniej z obojętnością słuchał śmiesznych pretensyj i niedorzecznych uwag posesora, który nagle stał się znów po dawnemu dumny i zarozumiały. Niepoprawny fanfaron starał się znów opanować położenie — on to budował dom, rozprawiał o posadzkach, jakie każde dać w każdym pokoju, o axamitnych meblach, które sprowadzi do salonu i z wielkim ożywieniem ganił, że właściwie nie ma w planie wjazdu — to jest takiego wjazdu, przez który zajechać mógł powóz, lub karetę. Tak perorując, kulał z żywym wzruszeniem po pokoju, obwijając się majestatycznie połatanym szlafrokiem, z kieszeni którego wyglądał kosmyk brudnej waty.

Dziedzic uśmiechał się z politowaniem i uspakajając się skiskał rękę biednej chorej, która z obawą spoglądała na niego podczas tych bredni męża, przyczem przyrzekł jej po cichu, że wystara się w Berlinie o wygodny fotel na kółkach, na którym bez żadnej przykrości będzie mogła przenieść się z folwarku do dworu. Zaraz potem podniósł się z pośpiechem. Może nie chciał męczyć chorej długimi odwiedzinami, może dusiło go ciężkie powietrze w zamkniętym miejscu, dość że pragnął jak najrychlej odetchnąć świeżym powietrzem dla tego jedynie tak się spieszył z odejściem... Mógł z powrotem udać się przez podwórze, ale tam słońce paliło tak mocno, gdy tymczasem w ogrodzie drzewa rzucały rokoszny, orzeźwiający cień — i zresztą dla czego miał by unikać ogrodu?

Ostrożnie otworzył drzwiczki, ażeby nie zakrzypiały przy przejściu i przez długą chwilę za-

trzymał się wśród malinowych krzaków, ponieważ... no, ponieważ zdawało mu się tam szczególnie chłodno i miło. I oto ujrzał dziewczynę na świeżo skoszonej łączce, jak właśnie w tej chwili podniosła się od roboty i wyjąwszy z kieszeni fiołkami pachnącą chustkę guwernantki, otarła nią twarz i czoło. Tak więc, jak to naocznie widział, poufałość między panią i sługą rozciągała się tak daleko, że nawet istniała pomiędzy nimi najzupełniejsza wspólność dóbr.

Stała odwrócona od niego i po konwulsyjnych poruszeniach ramion domyślił się, że musiała płakać. W jednej chwili przybiegł do niej.

— Dla czego panna płaczesz? — zapytał w pół żartobliwie, w pół z niepokojem. Dziewczyna wydała słaby okrzyk przerażenia i chustka mimowolnie upadła od twarzy. Tak, powieki były mocno zeczerwienione z płaczu, ale z oczu połyskiwało najsilniejsze oburzenie. Nie odpowiedziała nic i podniosła z ziemi sierp, jak by zamierzała pracować dalej, nie zwracając uwagi na zadane sobie pytanie.

— Czy nie mam otrzymać żadnej odpowiedzi? — zapytał po chwili z żywością.

Dziewczyna widocznie walczyła sama ze sobą.

— Nie, dopóki nie przekonam pana, że znieważyleś mnie ciężko i niezasłużenie — odparła stłumionym głosem.

— Chcesz mnie panna przekonać? — Rozśmiał się neliłociwie. — Chciał bym wiedzieć, jak się weźmiesz do tego? Jednak z góry powiadam — głos jego zmienił się nagle i przybrał tkliwy, prawie namiętny odcień — że gdybyś jednak przekonała mnie, gdybyś wiedziała, że postąpiłem niesprawiedliwie, wtedy na klęczkach prosił bym o przebaczenie.

Spojrzała na niego zadiwiona, niepewna, czy dobrze słyszy, i zapłonęła żywym rumieńcem — poczem smutnie spuściła głowę ku ziemi, jak gdyby przeświadczona o swej winie.

— Wiedziałem o tem — rzekł spoglądając na nią pogardliwie. — Wczoraj wieczorem byłaś znów w Grafenholz...

— I pan również... — odparła spokojnie.

Spokój ten uderzył go i zadiwił, a przytem w głębi duszy wstydił się swego potajemnego szpiegowania, na którym dziewczyna go pochwyciła.

— Ach, nie wiedziałem, że dom gajowego jest strażnicą, z której kontrolują z taką ścisłością przechodzących przez las — odpowiedział zmieszany mocno i jeszcze mocniej rozgniewany.

— Do tego w domu gajowego nie mają ani czasu, ani ochoty — mówiła z tym samym spokojem jak pierw. — Pies zaszczeakał...

— I wtedy wyjrzała panna, aby przekonać się, kto przechodził — dokończył szydyczko. — Wieczera już była gotowa i właśnie miano zasiąść do nakrytego stołu. O, ten człowiek ma wszelkie wygody! Jesteś panna już zupełnie oswojoną i zagospodarowaną w swym przyszłym domu.

W pierwszej chwili spojrzała na niego z zadiwieniem, ale zaraz potem zdawało się, że rozumiała wszystko. Rumieniec ukazał się na jej twarzy, a w kątach ust drgnęło coś, niby powstrzymywany uśmiech szydyczko.

— Przecież nie mamy się przenieść do domu gajowego? — zauważyła pytająco.

— Naturalnie że nie, jeżeli pod tem: my, rozumiesz panna swych państwa i ich synowicę, bo sądzę, że panna Agnieszka Franz wcale nie miała by ochoty zamieszkać u swej dawnej pokojówki.

— Dom gajowego w Grafenholz należy do księcia — odparła tłumiąc z wysileniem gniew ukazujący się w zaciśnięciu jej ust — nie pojmuję więc, z kąd miała bym prawo rozporządzania nim według mej woli. Zresztą jestem nierozłączną z panną Agnieszką Franz i gdy ona opuści te strony, z ja również oddalę się, aby w pośród obcych ludzi na chleb zarobić.

Przejęty do najwyższego stopnia, spoglądał na nią z usłupieniem.

— Pragnąłbym wierzyć — rzekł z wolna, ani na chwilę nie odwracając od niej oczu — ale wiem, że jesteś panna... fałszywą.

Usta dziewczyny zadrżały, na pozór przecież przyjęła to obwinienie z poważnym spokojem.

— Nie będę zaprzeczać panu — bo i po cóż mówić nadaremnie? Patrzysz pan przez szkiełka, które krzywią przedmioty, a ja nie mogę uczynić nic, aby wyjaśnić panu prawdę. Na nieszczęście masz pan po części słusność i później nawet będziesz miał prawo oskarżać mnie o brak szczerości.

— Tak o brak szczerości, o niegodną żądę podobania się i igraszkę ze szczęściem i spokojem ludzi — czego wszystkiego nauczyłaś się panna od swego wzoru: od pani swojej.

— Do tych grzechów nie przyznaję się wcale.

Dziewczyna mówiła to stanowczo, z najzupełniejszym spokojem spoglądając w jego rozgniewane oczy.

Uśmiechnął się ze złośliwym niedowierzaniem. — Bardzo pragnął bym wiedzieć, co myśli o tem pan gajowy?

— Ten i myśli i mówi codziennie: — Boże dziękuję ci, że przeminął wreszcie czas straszliwych kłopotów dla biednych starych na folwarku. Doświadcza on takiego samego uczucia ulgi, jak i ja.

— I ze względu na tę ulgę powinien jak najprędzej zapomnieć, że i z nim igrałaś panna bez miłosierdzia.

Dziewczyna podniosła dumnie głowę i już ostrą odpowiedź zadrgała na jej ustach, jednak przezwyciężyła się i zapytała spokojnie:

— Więc nazywasz pan niegodną igraszką ciężką pracę w polu, którą w istocie wspólnie wykonywaliśmy, jako dwoje wiernych towarzyszy? Fryderyk Weber jest zacnym, uczciwym człowiekiem, któremu przez całe życie będę głęboko wdzięczną. I dla tego też przyrzekłam mu — lekki złośliwy uśmiech ukazał się i zaraz zniknął z jej pięknej twarzy — że osobiście przybędę na jego wesele, choć bym musiała przepłynąć z za morza. Za dwa lata otrzyma tak korzystne stanowisko, że będzie mógł ożenić się ze swoją narzeczoną, która mieszka w jego dawnym garnizonowym mieście Magdeburgu. Wierna to jest, kochająca go stale istota.

Rysy twarzy dziedzica rozjaśniły się, jak by światło jakie przemknęło przez jego duszę. — I wtedy będziesz panna musiała przepłynąć przez morze? Czy panna guwernantka chce za morzami próbować szczęścia?

Wzruszyła ramionami. — Być może — odparła lakonicznie, i drobnymi paluszkami zaczęła przesuwając po blyszczącym ostrzu sierpi, jak by chciała zetrzeć z niego jakąś plamkę.

— Dopóty będę pracować i pozostanę na mem stanowisku, dopóki nie przybędzie ta, która mnie ma zastąpić — odrzekła z poważnym spokojem. — Dla czego zaś moja panna ma wyrzec się sztuki, którą kocha, tego nie mogę pojąć.

— Czyż panna nie powiedziałaś, że ma przenieść się za morze? Otóż to jest najprostsza droga do czarodziejskiej krainy, gdzie łatwo jest znaleźć męża — nababa.

Dziewczyna skrzywiła usta z lekceważeniem.

— Jak wysokie pojęcie mają bogaci ludzie o potęgę majątku, złota!.. odezwiała się z goryczą.

Henryk rozśmiał się. — Czyż by to pojęcie miało być mylnem? O Broń Boże! Codzienne doświadczenie potwierdza je. Daj tylko kobiecie brylanty, daj jej piękny pałac w mieście i rokoszną willę za miastem, a każda z tych, która nauczywszy się żyć w zbytkach, nauczyła się zarazem pożądlivie ich pragnąć, powie ci, choć byś był czarnym jak dyabeł i złym jak dyabeł, żeś piękny i miły jej jak anioł, żeś najlepszy z ludzi. Czy panna nie wierzysz temu?

(Dalszy ciąg nastąpi)

WÓDZ-DUCH

POWIEŚĆ

KAROLA DESLYSA

przekład z francuzkiego J. M.

(Dalszy ciąg).

Zamieniono powitania, w których i dzieci wzięły udział.

Stojąc szeregiem na ganku, podawały one z powagą rękę według angielskiego zwyczaju trzem gościom, którzy przeszli do salonu.

Doktor Stock zanim podążył za niemi, wydał ostatnie rozporządzenia:

— Lijo — mówił do trzeciej z kolei córki — zajmij się tem, aby wczas podano obiad, a inni niech powrócą do nauki. Rut, opiekuj się Beniaminem.

Była to najmłodsza, z dziewcząt prawdziwy anioł wdzięku i szczęśliwej swobody.

Na skinienie ojca cały młody świat oddalił się.

— Przebaczenie panowie — rzekł wchodząc do bawialnego pokoju — że pozostawiłem was przez chwilę samych. Matki już tu nie ma, zatem część obowiązków przechodzi na ojca. Czy czytaliście panowie arcydzieło przyjaciela mego Goldsmitha? Wraz z wikarem z Wakefield i ja utrzymuję, że ucześciwy człowiek, który się żeni i dobrze wychowuje liczną rodzinę, oddaje społeczeństwu daleko większą usługę niż ten, który pozostaje bezzennym i pracuje nad układaniem statystyki ludności. Szesnaście dzieci, to zdaniem mojem bardzo piękny podarunek dla kraju i z całego serca życzę ci, kochany kuzynie, ażebyś podobnie obdarzył kiedyś ojczyznę. A panowie, czy podzielacie moje zdanie?

— I ja jestem małżonkiem i ojcem — szepnął smutno markiz de Grandlieu.

— Co do mnie jestem i zapewne pozostanę bezzennym — wyznał wicehrabia z jeszcze smutniejszym uśmiechem. Lecz nie zasługuję na potępienie za ten mimowolny grzech. Jako tułacz, wygnaniec...

Ostatnie te słowa, wymówione z pewnym naciśnięciem dla zwrócenia uwagi Reginalda, przypomniały półkownikowi nie zupełnie jeszcze usunięte niebezpieczeństwo i konieczną potrzebę pospiechu.

— Moi przyjaciele — rzekł, zwracając się do gospodarza — przybyli do Killala, aby wsiąść na pokład amerykańskiego okrętu, który miał czekać na nich w tutejszej przystani.

— W istocie, przybył tu już przed ośmiu dniami.

Edward i Tankred podnieśli się, żywo na te słowa, jak gdyby chcieli już spieszyć do portu, lecz gospodarz nie chciał pozwolić na to.

— O, za pozwoleniem! — zawołał. — Sądzę, że mam prawo wymagać, abyście panowie nie odrzucili mojej szczerzej gościnności. Przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi, a cóż dopiero przyjaciela naszych krewnych! Pokoje panów są przygotowane.

Nadaremnie Gaillefontaine zapewniał, że nie mają ani chwili czasu, gdyż kapitan okrętu oczekuje ich z wielką niecierpliwością — doktor Stock nie chciał o tem słyszeć.

— Lecz nie wiecie panowie, że do przystani jest jeszcze dobre trzy mile. Po tak długiej podróży musicie być niezawodnie głodni, należy więc spożyć obiad pod moim dachem. Jestto już obowiązek panów, gdyż tak, jak Józef, czekający na braci, rzekłem do mego rządcy: „Zabij

ofiary i przygotuj ucztę, gdyż mili moi będą jeść ze mną w samo południe.“

— Ale...

— Zdążcie panowie na odpływ morza, zareczam. Oto już odzywa się dzwon — dziesięć minut Benedicite i już obiad.

W oznaczonej godzinie udano się do jadalnego pokoju.

Łucya weszła ze swemi dwoma kuzynkami, z którymi, jak się zdawało, zawarła już serdeczną przyjaźń. Lecz brat miał oddalić się, rozłączając się z nią na zawsze. Przytem przymus, zmuszający ich do chłodnego zachowania się nawzajem, czynił jeszcze bolesniejszymi ostatnie chwile, które przeżyć mieli razem. W oczach Łucyi nie raz widać było łza ukrywana, a i sam Edward jakżeż był żywo wzruszony! Jeden Tankred usiłował niekiedy przerwać panujące przy stole milczenie. Sam nawet gospodarz nie miał zwykłego humoru, gdyż tego dnia wyjątkowo z szesnastu miejsc, przeznaczonych dla jego dzieci, dwa pozostały niezajęte.

— Dwaj moi najstarsi synowie — odezwał się — już od przedwczoraj znajdują się na morzu. Zapaleni rybołówcy! A przecież przyrzekli mi uroczystość, że z pewnością powrócą dziś rano. Pierwszy to raz nie dotrzymali mi słowa, musiało więc zająć coś ważnego. A tak bym pragnął przedstawić ich państwu, gdyż w istocie każdy ojciec mógł by być dumnym z takich synów.

Podczas desseru biskup zwrócił głos do wicehrabiego i margrabi.

— A czy nie moglibyście panowie napisać do kapitana okrętu? Jeden z moich ludzi zaniósł by list i jednocześnie wystarał by się o wiadomości...

Przerwał mu głośny tentent konia, który w całym pędzie wpadł w tej chwili na podwórze pałacu biskupstwa.

Okna jadalnego pokoju wychodziły właśnie na podwórze i widać było przez nie jeźdźca, który zeskoczywszy z siadła, wbiegł z pośpiechem na ganek.

Był to młodzieniec około lat piętnastu, ubrany po marynarsku.

— Ach! — zawołał doktor Stock. — Otóż jeden z moich zbiegów, mój syn Nataniel! Ale dla czego przybywa w ten sposób i to bez brata? Ale dla Boga, co mu jest?

W istocie żywe wzruszenie widać było na pobladłej twarzy młodzieńca. Zadyszany, drżący, wpadł do pokoju i rzucił się w objęcia Zuzanny, najstarszej siostry, zastępującej w rodzinie miejsce matki.

Ta otoczyła go tklwym uściskiem i niespokojna w najwyższym stopniu poczęła wypytywać z troskliwością o to, co się stało? młodzieniec jednak uie mógł mówić porządnie, opowiadać.

— Żołnierze... armaty... wylądowali — powtarzał z kolei.

— Co, co Natty? pytały wszystkie razem młodzieńskie głosy, aż chłopiec zawołał. — Francuzi! cała armia!.. już są blisko...

XXXVII.

Każdy pod swoim sztandarem.

W pierwszej chwili nastąpiło ogólne osłupienie. Zdumiewająca wiadomość uderzyła jak piorun z pogodnego nieba.

Wszystkie dzieci biskupa otoczyły ojca. Łucya mimowolnie zbliżyła się do Tankreda. Oczy Reginalda zabłyśły gniewem, Edwarda radością.

Jednak nikt nie chciał wierzyć — powątpiewano jeszcze.

Nataniel wypytywany z niepokojem, odzyskał wreszcie zimną krew i wyjaśnił całe zdarzenie:

— Wczoraj po południu obaj z bratem Arturem znajdowaliśmy się na naszym yachcie w nie-

jakiem oddaleniu od brzegu. Na widnokręgu ukazały się liczne żagle, które wiatr i przypływ morza popychały zwolna ku nam. Zdawało się, że była to cała eskadra. Pierwszy statek wpłynął do zatoki, za nim pospieszyły inne. Były to wielkie okręta, okręta wojenne! Tak rzadko ukazują się one na naszych wodach, że gorąco pragnęliśmy obejrzeć je z bliska. Pojmujesz to, kochany ojciec?

— Mów, mów dalej Natanielu! odparł biskup, tak niespokojny jak wszyscy.

— Czyż mogliśmy przypuszczać podstęp? — odezwał się znów młodzieniec. — Na masztach powiewała angielska bandera. Mielśmy bardzo szczęśliwy połów. Może rodacy nasi przybywają z dalekiej podróży? Artur powziął myśl ofiarować im świeżej ryby. Zgodziłem się na to z wesołym sercem i yacht nasz jak strzała puścił się na spotkanie pierwszej fregaty. Gdy zbliżyliśmy się do nich o kilkaset sążni, nagle okrzyk przerażenia wyrwał się jednocześnie z ust naszych. Na pomoście, na parapetach, wszędzie, wszędzie cudzoziemskie mundury!

— Zawracajmy do brzegu! krzyknął Artur, lecz już było za późno. Wymierzono do nas lufy karabinów i wydano rozkaz przybliżenia się. Nie myśleliśmy jednak usłuchać! Synowie twoi ojciec, ustąpili dopiero, gdy opór okazał się niemożliwy wysłano za nami kulę działową.

— Och, to niegodnie! Strzelać do dzieci, — szepnął ojciec.

— Jedynie dla postrachu — odparł Tankred.

— Zmuszeni przybić do fregaty, weszliśmy na pokład. Nie mogliśmy wątpić dłużej, że to byli Francuzi!.. Zaprowadzili nas do wodza, olbrzyma, którego cały mundur pokryty był złotem. Na kapeluszu powiewała kita z piór.

Z tego opisu Gaillefontaine poznał generała Humberta.

— Wypytywał nas — ciągnął dalej syn biskupa — w jakiej odległości znajduje się Killala i jak liczny jest garnizon? — Nie mów ani słowa! — szepnął mi Artur i pomimo groźby, nie im nie powiedziałem. Wspaniały dowódca wcale się nie gniewał, owszem uśmiechał się z zadowoleniem. — Dzielne chłopcy! — zawołał. — Lubię ludzi, którzy kochają swą ojczyznę! — i olbrzymią ręką pogłaskał mnie po głowie. Tymczasem eskadra francuzka zbliżała się coraz do brzegów. Otoczyło ją mnóstwo statków należących do rybaków. Ale ci ojciec, o! ci czuli inaczej, jak my... Radość ich była szalona: skakali, wydając okrzyki szczęścia. Trzy inne fregaty, korzystając z ich wyjaśnień, zarzuciły kotwice w najbezpieczniejszym miejscu. Wieczorem rozpoczęło się wylądowanie.

— Jak to? — zawołał sir Reginald. — Jeszcze wczoraj wieczór.

— Trwało przez całą noc i rano — wyjaśnił Natty. Uwięziono nas w Zielonej Przystani, gdzie mój brat dotąd się jeszcze znajduje. Mnie udało się wymknąć przez sztachety, wskoczyłem na pochwyconego konia, puściłem się w cwał i oto jestem. Kilka kul świsnęło mi około uszu, lecz ani jedna nie trafiła mnie. Prędko! Prędko, majorze!

Ostatnie te słowa zwrócił młodzieniec do komendanta Killala, który w tej chwili ukazał się na progu.

Stary oficer potwierdził w zupełności słowa Nataniela. Dodał nadto, że przednia straż nieprzyjacielska zbliża się w szybkim pochodzie do miasta.

Reginald prędko powziął postanowienie. Powiedział komendantowi, kim jest, poczem zapytał go, ile ma ludzi pod swemi rozkazami?

— Mało co więcej nad stu — odpowiedział — lecz są to starzy, doświadczeni żołnierze, którzy mężnie spełnią swój obowiązek.

— Liczę na to — rzekł Reginald. — Miasto jest zbudowane na wzgórzu i silnie bronione przez skały. Oszańcuj się więc pan i opieraj się jak można najdłużej. Gdybyś tylko zatrzymał nieprzyjaciela choć by przez jeden dzień, choćby

Wódz-Duch Arkusz 18.

tylko przez kilka godzin, już byś dobrze zasłużył się Anglii.

Poczem po krótkim przestanku dodał jeszcze:

— Konia! Przyslij mi, komendancie, najlepsze go wierzchowca, jakiego masz w stajni. Dam znać gdzie należy o wyładowaniu Francuzów.

Komendant wybiegł natychmiast.

Tymczasem na wszystkich twarzach, otaczających biskupa, widać było żywy niepokój.

— Niech się dzieja wola Boża! — odezwał się doktor Stock do zbliżającego się Reginalda.

— Nie rozpaczajmy — odparł półkownik. — Znam twe meztwo, wuju, i jestem pewny, że nie upadniesz na duchu, w obec tej próby. Zresztą jest to tylko chwilowe nieszczęście, które nie potrwa długo. Otrzymasz wkrótce pomoc. Taka rodzina jak twoja nakazuje szacunek nawet wrogom i sądzę, że najlepszym schronieniem dla lady Cornwallis będzie pozostać w pośrodku was.

Łucya chciała mówić, zapewne o Edwardzie, lecz syn wicekróla przerwał jej z nietajoną gorczyzą:

— To nieszczęsne zdarzenie najboleśniej mnie dotyka. Bądź zdrowa milady. Nie wolno mi się wahać, przedewszystkiem muszę spełnić obowiązek żołnierza i obywatela.

W drugim końcu sali Edward i Tankred rozmawiali z żywością, stojąc we framudze okna.

— Pozwólcie mi państwo — rzekł znów Reginald — abym jeszcze porozumiał się z temi panami.

Fitz-Gerald czekał na niego ze spokojem niewzruszonego postanowienia. Nadeszła chwila, w której różnica narodowości musiała wywołać starcie pomiędzy szwagrami.

— Cóż zamierzasz uczynić panie margrabio de Grandlieu? — zapytał Anglik, zmuszając się do mowy spokojnej.

Irlandczyk odpowiedział z dumą:

— Mój półkownik, samo nazwisko moje wskazuje mi sztandar, pod którym powinienem stanąć.

— Powinien byś raczej oddalić się, panie margrabio — zauważył surowo małżonek Lucy.

— Położenie moje względem Francuzów — odparł jej brat — jest tak samo drażliwe, jak względem ciebie, sir Reginaldzie. Jestem jednym z tych, którzy ich przywołali do Irlandyi. Co by pomysleli o mnie, co byś pomyślał ty sam, gdybym uciekł w chwili ich przybycia?

Dowodzenie było przekonywawcem, syn wicekróla zagryzł wargi i skłonił się milecząc.

— Do chwili przybycia wojsk francuzkich — mówił dalej Fitz-Gerald — uważałem się za pańskiego więźnia na słowo. To jest, sądzę, wszystko, do czego zobowiązywał mnie honor.

— Lecz Edwardzie twoja matka, twoja siostra!

Łucya która słyszała całą tę rozmowę, rzuciła się w objęcia brata.

— A twoja żona, twoje dzieci! — błagała go ze łzami w oczach.

Była to niewątpliwie chwila bolesnego sporu uczuć w sercu Fitz-Geralda, który jednak łagodnie odsunął od siebie siostrę.

— Półkowniku — rzekł — pozwól, abym zadał ci jedno pytanie. Odpowiedź twoja jest ważna dla mnie i proszę cię, jak uczciwego człowieka, o szczerłość.

— Pytaj pan, panie de Grandlieu...

— Czy spełniono wyrok na braciach Sheares?

Na dźwięk tych słów, na wspomnienie dwóch ofiar, tak młodych, szlachetnych i godnych przebaczenia, syn wicekróla pobałdł śmiertelnie.

— Odpowiedz mi pan — nalegał Edward — lecz tak, jak gdybyś stał przed Bogiem... Tak, czy nie? Czy głowy ich spadły na rusztowaniu?

— Niestety, tak.

Nastąpiła znów chwila mileczenia.

— Lecz gdybyś wiedział...

— Nie chcę wiedzieć o niczem więcej — przerwał mu Fitz-Gerald z energicznym wyrazem

oburzenia i bólesci na twarzy. Wszyscy też czuli, że powziął już postanowienie niezłomne.

W tej chwili wjechał na podwórze komendant Killala na przepysznym wierzchowcu, przeznaczonym dla półkownika.

Z drugiej strony żelaznej kraty ukazało się kilka groźnych postaci, z oddali dochodziły okrzyki ludu.

Lord Edward opanował wzruszenie.

— Sir Reginaldzie — odezwał się do szwagra z poważną i smutną życzliwością — jestem ci wdzięczny za wszystko, co uczyniłeś dla mnie. Dowodzę ci tego, nie starając się zatrzymać cię, lubo wiem, że odjazd twój jest niebezpieczeństwem dla naszej sprawy.

— Zatrzymać mnie? — rzekł Anglik z pogardliwym niedowierzaniem.

— Nie nie było by łatwiejszego — potwierdził Fitz-Gerald z godnością. — Czyż nie widzisz, półkowniku, tych wzburzonych tłumów, zbierających się przed pałacem biskupstwa. Gdybym się tylko pokazał i wymienił moje nazwisko... ani komendant nie mógł by spełnić swego obowiązku, ani ty nie opuścić byś Killala. Lud zatrzymał by cię przemocą. Lecz nie uczynię tego, bo jestem tu z twojej łaski jedynie, oddał się więc wolny, lecz już skwitowaliśmy się zupełnie.

Syn wicekróla nie odpowiedział mu nic, tylko uśmiechnąwszy się smutnie, rzekł, zwracając się do Tankreda:

— Czy żegnając się z tobą, wicehrabio, podaję również rękę nieprzyjacielowi?

— O nie, nie półkowniku! Lecz szczerą przyjaźń dla ciebie, nie zatrzyma mnie od spełnienia tego, co w tym kraju nieszczęśliwym nakazuje mi czynić honor i przekonania moje wewnętrzne. Pójdę wszędzie tam, gdzie pójdzie margrabia de Grandlieu.

Gaillefontaine mówiąc te słowa, był piękny prawdziwie mężką pięknością, Łucya patrząc na niego płakała cicho, ale boleśnie: ona jedna nie mogła mieć ani sprawy swojej, ona istota rozdarta sercem i obowiązkiem na dwie połowy.

Reginald zakończył rozmowę:

— Niech-że więc każdy postąpi według swego sumienia i stanie pod swoim sztandarem — odparł sucho. — Jeżeli los zawiedzie wasze nadzieje, wtedy nie zapominajcie panowie, że zawsze możecie liczyć na mnie... Do widzenia!

I wybiegłszy z pośpiechem na podwórze, wskoczył na konia i odjechał galopem.

Groźne okrzyki wzburzonych tłumów, rozlegające się przed nim i za nim, przekonały go, że Fitz-Gerald mówił prawdę.

Tymczasem komendant oddalił się również, aby zgromadzić żołnierzy i choć na prędce poczynić przygotowania do obrony miasta.

Biskup przez delikatność usunął się na bok podczas rozmowy swych gości. Zresztą i jego czas był policzony. Musiał zarządzić pewne środki ostrożności, aby przygotować się na wypadki, mające wkrótce nastąpić. Już młodsze jego dzieci oddaliły się z rozkazu ojca.

Ruth i Zuzanna czekały na Łucyę, chcąc ją doprowadzić do przeznaczonych dla niej pokojów. Doktor Stock widocznie niecierpliwił się zwłoką, gdyż i on miał towarzyszyć lady Cornwallis.

— Pozostaniemy tu, aby opiekować się panem — odezwał się do niego Tankred. Poczem zwracając się do siostry Fitz-Geralda, dodał ciszej: — Bądź pani spokojną, nie opuszczę go, będę czuwał nad nim!

W pokoju jadalnym pozostał tylko Nataniel z dwoma emigrantami francuzkimi.

Nagle w niedalekim oddaleniu rozległy się dwa strzały armatnie: niewątpliwie załoga miasta wysłała je przeciw zbliżającym się Francuzom.

— Rozpoczyna się bitwa! — zawołał Nataniel. — Czy nie zechcecie panowie udać się wraz ze mną na wieżę, z kąd doskonale można widzieć miasto i całą okolicę?

Po przyjęciu propozycji, młodzieniec poprowadził gości ku jednej ze starych wież i pierwszy poskoczył na ciemne schody.

W wielu miejscach brakowało sufitu po nad głową, lecz kamienne stopnie wznosiły się bez przerwy, okręcając się wężykiem w około ścian, tworzących niby dźwięczną konicę, w której najślabszy odgłos, pochodzący z zewnątrz, odbijał się ze szczególną wyrazistością.

Gdy Edward i Tankred dostali się na pierwsze piętro, rozległy się liczne strzały karabinowe jak gdyby w około nich. Zdawało się, że walczący żołnierze znajdowali się tuż w pobliżu, pod nogami ich i nad głowami.

— Och, prędzej, prędzej! — wołał niecierpliwie Nataniel.

XXXVIII.

General Humbert.

Galeryjka na wieży stanowiła wyborne obserwatorium, z którego można było widzieć całą rozległą okolicę.

Obok tego znajdował się tam dalekowidz, za pomocą którego dawały się wyraźnie dostrzedz najodleglejsze miejsca.

Lecz ani płaszczyzna, oświecona jasnymi promieniami słońca, ani przystań, odzwierciadlająca się na widnokręgu, ani nawet rozpoczęta właśnie walka nie zwróciły na siebie pierwszego spojrzenia wicehrabiego. Poznał on bowiem swą własną liberyą na grzbiecie pewnego ciekawca, który z oczyma utkwionemi w dalekowidz patrzył przez niego z tak wielką uwagą, że nawet nie usłyszał przybywających.

— Pat! — zawołał Tankred z zadziwieniem. Jak się tu dostałeś?

— Na skrzydłach panie... Drzwi były zamknięte, wdrapałem się więc przez otwór w murze i bez biletu dostałem się do tej wybornej loży. Ale i Wasza Cześć przybywa w samą porę. O panie! aż serce rośnie patrzeć na to.

Gaillefontaine i jego towarzysze patrzyli z zajęciem najwyższem.

Nieco na przodzie, przed ostatnimi domami przedmieścia, pod osłoną skał, o których, wspominał sir Reginald, widać było żołnierzy załogi nabijających nanowo broń.

Dym poprzednich strzałów unosił się jeszcze po nad nimi.

Na drodze w oddaleniu może pięciuset kroków leżał zabity człowiek.

Tankred pobiegłszy do dalekowidza, wymierzonego właśnie na ten sam punkt, rozpoznał od razu, że pierwszą ofiarą walki padł francuzki porucznik.

Straż przednia, którą zapewne dowodził, cofnęła się przed chwilą do lasu, kryjącego ją przed wzrokiem patrzących.

— Arrah! Arrah! wołał paddy, któremu radość tryskała z oczy. — Było ich zaledwie piętnastu i widocznie spodziewali się lepszego przyjęcia. Założę się, że wkrótce powrócą, lecz tym razem w większej liczbie.

Co do obrońców miasteczka, czuwali nieruchomi, z palcem przyłożonym do cyngla karabinów.

(Dalszy ciąg nastąpi)